



Coraz lepiej

**Warszawska Szkoła Pisania
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich**



Coraz lepiej

Coraz lepiej

Utwory uczestników
Warszawskiej Szkoły Pisania
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział Warszawski
2012

© Copyright by Stowarzyszenie Pisarzy Polskich,
Oddział Warszawski, 2012

Redaktor prowadzący
Skład i grafika
Piotr Müldner-Nieckowski

Redaktorzy
Agata Kawczyńska
Izabela Szymańska
Maciej Woźniak

Wydano dzięki pomocy finansowej
Miasta Stołecznego Warszawy

Wydanie I
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział Warszawski
Warszawa 2012

Jak powstała Stajnia Literacka SPP

Tomik ten jest pierwszą wspólną publikacją grupy, która wzięła udział w warsztatach literackich, wykładach i konferencjach Warszawskiej Szkoły Pisania, założonej przez Oddział Warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w 2012 r.

Książka zawiera utwory różnej jakości, bardzo dobre i słabsze, wiemy o tym. Takie są prawa początków, takie też były założenia wstępne: chcieliśmy uwzględnić wszystkich, którzy zdecydowali się na druk. Publikacja ta co prawda nikogo nie wyróżnia, jest jednak ważnym dokumentem. W wyborze utworów kierowaliśmy się głównie tak zwaną drukowalnością (i ze względu na ograniczone środki finansowe także objętością), ponieważ potrzebna jest zachęta, a druk – dla wielu pierwszy w życiu – jest rodzajem nagrody. Niejeden wybitny dziś pisarz zaczynał od ogłaszania tekstów mniej istotnych, gdyż na początku kariery nie orientował się, w jaki sposób korzystać ze swojego talentu, jakim torem powinna pójść jego aktywność twórcza, gdzie jest jego droga. Gdyby został niegdyś odrzucony już na wstępie, pewnie w literaturze dziś by go nie było.

Konfrontacja z kolegami, a przede wszystkim kontakt ze znawcami, pisarzami doświadczonymi, którzy umieją doradzić i pokierować rozwojem, w przeszłości dawały znakomite rezultaty. Tak przecież było w latach 60. i 70. XX w. w Kole Młodych Związku Literatów Polskich, które wydało wiele naprawdę świetnych pisarskich nazwisk. Tą myślą kierujemy się i dzisiaj w Zarządzie Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, choć czasy są zupełnie inne. Uważamy, że pomaganie

młodym (a nawet i starym, ale dopiero dziś rozpoczynającym przygodę z literaturą) jest naszym świętym obowiązkiem. Chcemy pomóc, doradzić tym, którzy czują wewnętrzną potrzebę pisania, mają wiele do powiedzenia, lecz borykają się z problemami warsztatowymi lub nie odnaleźli „swojego sposobu na własny styl”. Dziś nie ma ani dawnego Koła Młodych, ani nawet kawiarni literackiej, w których kiełkowały kierunki i prądy artystyczne, mody literackie, nowe poglądy, wartościowe standardy i – co najważniejsze – dojrzewały wielkie indywidualności. Jest natomiast nasza grupa, a że jest ona bardzo obiecująca, wiemy z osobistych kontaktów z jej członkami. Na pytanie o szanse młodej literatury, literatury związanej z Warszawą, wreszcie o przyszłość Stowarzyszenia Pisarzy Polskich można bodaj po raz pierwszy od dwóch dziesięcioleci odpowiedzieć: coś drgnęło, zaczyna być *coraz lepiej*.

Grupa liczy ponad 50 osób.

Zaproponowaliśmy nazwę: „Stajnia Literacka SPP”. Znaczną większością głosów została ona przyjęta na Konferencji w dniu 18 grudnia 2012 r. w Domu Literatury w Warszawie. Wprowadzamy Stajnię do nieformalnych struktur SPP, na razie warszawskich. Być może w przyszłości uda się ją umieścić w statucie stowarzyszenia.

Zarządowi Oddziału Warszawskiego z prezesem *Jackiem Moskwą* na czele marzy się, aby przyszli członkowie SPP rekrutowali się między innymi właśnie z tej grupy. Towarzyszenia uczestnikom Stajni w ich literackim rozwoju, a więc prowadzenia Warszawskiej Szkoły Pisania SPP podjęli się *Katarzyna Boruń Jagodzińska*, *Małgorzata Strękowska-Zaremba*, *Agnieszka Syska* pod kierunkiem niżej podpisanego jako wiceprezesa, który ma w swoich obowiązkach opiekę nad młodymi, początkującymi. W organizacji Szkoły biorą udział także pozostali członkowie Zarządu: wiceprezes *Grzegorz Łatuszyński*, *Małgorzata Piekarska*, *Zbigniew Taranienko*, *Eugeniusz Kasjanowicz*, *Jan Kazimierz Siwek* oraz koleżanki i koledzy z SPP, którzy z własnej inicjatywy pojawiali się na zajęciach choćby jako obserwatorzy. Wzruszające to były chwile...

W warsztatach literackich, wykładach i konferencjach Warszawskiej Szkoły Pisania w 2012 r. wzięli udział pisarze, profesorowie literatury, redaktorzy: *Ernest Bryll*, *Katarzyna Boruń-Jagodzińska*, *Janusz Drzewucki*,

Dariusz Fokś, Magdalena Janowska, Marek Ławrynowicz, Krzysztof Koehler, Wojciech Kudyba, Piotr Matywiecki, Jacek Moskwa, Piotr Müldner-Nieckowski, Magdalena Saganiak, Małgorzata Strękowska-Zaremba, Agnieszka Syska, Leszek Szaruga, Janusz Zaorski.

Wszystkim z całego serca dziękujemy.

Szczególne podziękowania należą się Miastu Stołecznemu Warszawie, Biuru Kultury Urzędu m. st. Warszawy, które sfinansowało projekt.

Piotr Müldner-Nieckowski

Katarzyna Marta Chrzanowska

Opowiedz mi o echu

milczymy
o echu
już nawet na siebie nie patrzymy
nie mieszamy oddechów
milczymy
o echu

udajemy że nie ma
miłości
że ona nie wykracza
spoza czulej senności
udajemy że nie ma
nas
i milczymy o echu
zaciemniamy skutków blask

udajemy że nie ma
nawet milczenia

W jedności bez słów

w skomplikowanym dialogu cisz
czai się wieloznaczność
morze bez wysp
bez przystani
jest przed nami
jest za plecami

ja cię nie dotykam
włosów swoich szalem

ty mnie nie dotykasz
to po prostu fale

nie wiem na ile w sobie jesteśmy
nie wiem jak długo w sobie zostaniemy
więc teraz właśnie teraz się pieścimy
nie patrząc dokąd zaraz dopłyniemy

rozmawiajmy dalej
niech trwa dialog cisz
ja słyszę to co chcę
ty to samo słysz

Religie / Niebo jest niebieskie

nasze palce wskazujące
na niebo
siecic wiją z dłoni

w blasku słońca każde z nas
traci
wszystkie wytyczane na chmurach
szlaki
pokazujesz
pokazuję

nie tędy
droga

Michał Kamiński

Hip-hop

Grafoman

Jestem grafomanem,
Nie tak jak ty naukowym panem,
Żadnym znanym Wojciechem Mannem.
Nie czekam na oklaski,
Nie mam z tego żadnej kaski.
Mówię zawsze prosto z serca,
Nie dyktuje mi tego komercja,
Co nad prawdziwym artystą się znęca,
Ich kit jest czymś, co masom się wkręca.
Nie piszę tego dla szpanu,
Tyle mam do powiedzenia panu,
Nigdy nie dorównam poziomem
Korze z Maanamu.
I tak jestem lepszy niż większość znanego chłamu,
Nieraz mającego od kasy wrażenie omamu.
Psycha bardziej zryta niż wieczne wojny Omanu.
Nie żalę się po krytyce, chamie.
Ma dusza, serce nigdy nie kłamie.
Ten krótki wiersz kością tobie w gardle stanie.
Nie myśl więcej o mnie w kwestii „ty baranie”.
Nie wywyższam się, że mieszkam w Wawie,
Jak każdy tutaj prawie.
Na rozdaniu Złotego Pióra nigdy się nie zjawię,
Nawet gdybym widział to na jawie.
Czy tym tekstem już Cię dławię?

Beata Komarnicka

Wolę

Wolę, Panie Boże, wyraźne wskazówki.
Jak w prawo – to w prawo,
Jak w lewo – to w lewo,
A nie „jak chcesz”,
Bo wtedy wychodzi najgorzej.

Słowa

Słowa mnie atakują,
Wyłazą spod łóżka,
Zza lustra,
Z szafy.
Siedzą pod poduszką i nie dają zasnąć.
Przyszpilam je prędko długopisem do kartek
I mam chwilę spokoju.

Wyspałam się na zapas

Wyspałam się na zapas.
Czytałam, że się nie da.
A tu pół nocy bez snu.
Trzeba było tamtego dnia zagrabić liście
Albo pójść na spacer.

Mówią, że to pomaga.
Następnym razem, gdy zapomnę
I znowu wyśpię się na zapas,
Przekopię cały ogród.

Zgubiłam wiersz

Zgubiłam wiersz.
Pamiętam tylko tytuł
I kilka słów ze środka.
Przejrzałam wszystkie kartki na biurku,
Torebkę, szuflady,
Znalazłam inny, też niezły
I śmieszny tekst dziecka, zapisany na pamiętkę,
I notes.
Gdy pisałam w notesie,
Nie gubiłam wierszy.
Wyszukiwarka robi, co może,
Ale ciągle „trwa wyszukiwanie”
Albo „zmień nazwę pliku lub słowa kluczowe”.
Słodki ten żółty piesio.
W końcu napisałam go jeszcze raz.
Chyba lepszy od tamtego.

Maria Kościuszko

A jednak

zdarzyło się raz że
byłam poetką

w sobotę
o godzinie dziesiątej piętnaście
między jedną a drugą asaną
poczułam to
lekkie muśnięcie

właśnie uwalniałam oddech
płynęły przeze mnie
słowa i obrazy
nie zdążyłam zapisać
poszukiwałam w sobie
środka ciężkości

to wina zegara
ruch wskazówki spłoszył
skrzydlatą muzę

siedzi teraz na
wysokiej sośnie
i kracze

a jednak
przez jedną krótką chwilę
byłam poetką

2005

Wierzę starym poetom

Po lekturze tomiku Tadeusza Różewicza „Wyjście”

Stary Poeta wie już
wszystko
żyją w nim wszystkie
pory mroku

słowa i znaki nie mają
przed nim tajemnic
używa ich oszczędnie
niepotrzebne przecinki kropki
wykrzykniki et caetera
zostawia innym
którzy nie wiedzą
jak wyrazić
miłość

skrywa w duszy traumę przeszłości
ale nie patrzy wstecz
widzi biel bieli
słyszy jak deszcz pada

pisze że nie wie
co to jest prawda
sam jest prawdziwy

mówi
zawsze jest przed nami
jakiś wyjście i wejście
tylko ulica jest coraz dłuższa

2005

Strona światła

Pamięci Jerzego Ficowskiego

czas poetów nie ma początku ni końca
ale i oni podążają za światłem w tunelu

gdzieś na pograniczach
zawczasu z poniewczasem
śniły mu się cygańskie bezdroża
i tajemnica Brunona Schulza

nie miał wątpliwości – inni to my
tak sami nadzy i bezbronni
i ruszał pod prąd

nie krzycząc – to ja
nić poezji na własnych
rozsnuwał ścieżkach
odszedł
cicho bezszelestnie

a my
samotniejemy

2006

Sabat

spotkałyśmy się
choć los rzucił nas w cztery strony świata
wędrujemy teraz pętlą czasu
tam i z powrotem

słowa jak serie z szybkostrzelnych dział
rozpryskują się między nami
zapadają w krótkie chwile ciszy
sączymy wino śmiech i łzy na przemian

chłoniemy przyśpieszony kurs historii tyle się zdarzyło
chwile szczęścia i traumy losu narodziny i śmierci
dorosłe dzieci i wnuki
i mężczyźni

ach ci mężczyźni tacy wspaniali i tacy nieudani
miłość i samotność
i znowu łzy
każda płacze do swego lustra

a potem znowu śmiech
tamte wagary – pamiętasz
chcesz dam ci przepis na śledzie
pod pierzynką

czas zatoczył pętlę
znów mamy naście lat
ciemne warkocze zmagają się
z dzisiejszą siwizną

za rok znów musimy się spotkać
przyrzekamy solennie

i każda wraca
w swoje koleiny

2009

Waldemara Kossak-Chodnicka

Punktualna

Jestem punktualna.
Tak wszyscy mówią.
I za to mnie lubią.
Aż tu wpadka fatalna!

Gdzie byłam, nie wymienię.
Dom Kultury, który to, który.
Mury są takie same,
A napisy zamazane.
Ja z nich szydę,
Próżne patrzenie,
Bo niewiele widzę.
A pytać ja się wstydzę.

Przepraszam za spóźnienie.

16.10.2012

Leciwy

Chód dostojny,
Wysokie czoło,
Na skroni nawet nie siwizna.
Leciwy, a wciąż goni... goni
Mnie to dziwi,
Że się nie przyzna,
Że nie wie za czym...
Uraz do niego skrywam.
Krąży wkoło
I wciąż się krzywi.
Do czego dąży?
Choć się nie odzywam,

Powie w gniewie:
Jeszcze świat przede mną...
Umysł ścisły,
A pomysły w głowie!...
I jestem przystojny.
Wreszcie chodź ze mną,
Choć raz
W tym mieście.
No, nareszcie...

Ale po co...
To leniwy mężczyzna
Jak nieżywy śpi nocą!...

16.10.2012

Ewa Kubiak-Kokoszko

Jesteś

jesteś w klubie kolekcjonerów
jesteś w sklepie, kupujesz długi, skórzany płaszcz
jesteś w budynku z pilastym dachem, przy sztalugach
jesteś na wycieczce przed świątynią cystersów, wzrokiem
badasz i nazywasz cegłę
jesteś, a ja płaczę – na więcej jestem za słaba

jedna noc: blada, poraniona, zrozpaczona
przeniosła mi ciebie na drugą stronę Styksu

dzisiaj w głębokim śnie zbliżyłeś się do mnie
twoja dłoń – smuga cienia

serce uderzyło mocno – modliłam się –
światło spaliło wizję
– nie usłyszę ciebie

Wydmy

Nurt myśli jak wędrownie wydmy

wiatr rzeźbi i usypuje rozległe wzniesienia

rzeźbiarzem są moje stopy
na moment

śpiewają ruchome wydmy
słyszę ich szum
biegnę po nich wysoko

Strachy na wróble

Ścigane naszym sentymentem
tkwią w krajobrazie
baba jaga, diabeł, jastrząb
dziad w parze z babą
twór fantazji
niezbadany wizerunek straszycła
jeszcze dojrzewają sady, ogrody i pola
pod dozorem strachów
ucieka zgłodniałe ptactwo

strachy na wróble
pamięć im wciąż łaskawa

Noc szczęśliwa naciąga atrament
miłość
wiatrem na skrzydłach mew
ramionami wiosny
warkoczem wierzby u źródła
poranną rosą na łąkach

mówią za siebie
twoje ciało
moje wargi

Renata Lipińska-Kondratowicz

Dusza mojego domu

Sprawdziłam po wielokroć:
Ile razy wyjeżdżam,
Dusza mojego domu umiera.
Umiera po pięciu dniach.
Gdy wracam wcześniej,
Żyje. Skurczona i poszarzała.
Jednak pachnie, oddycha,
Chociaż chowa się gdzieś po kątach.
Gdy wracam po tygodniu,
Wita mnie zimny zapach tynku,
Książkowego kurzu.
Obojętne spojrzenia szyb w oknach
I jakby nie moje rzeczy na wieszakach.
Obrazy odwracają ode mnie wzrok,
Nie poznaje strelicja.

Wtedy gotuję obiad,
Głaszczę książki po grzbietach,
Piję kawę
I słyszę jak zmartwychwstała dusza
Zaczyna mruzczyć
Na moich kolanach.

Jesienne szarugi

Na zielonych listkach marzeń.
Rdzawe plamy niepowodzeń.
Już nie zakwitnę,
Nie wydam owoców.
Na parapet myśli
Przylatują gołębie,

Które zgubiły po drodze
Okruchy chwil szczęśliwych.
Nikt nie stuka do drzwi.
Zimno mi. Otulam się
dziurowym kocem wspomnień
i czekam wciąż na gorącą szklankę herbaty
z sokiem malinowych słów.

Magic woman

Zima. Góry. Przydrożna kafejka.
Grająca szafa. Były kiedyś takie.
On wrzucił do niej grosz albo dwa.
I popłynęły dźwięki:
d, d, d, a... d, d, d, g...

W zielonej poświacie
Zaczęły wyrastać palmy,
Źrenice jej oczu
zrobiły się prawie czarne.

I zaczęła czarować,
Owijając wokół palca,
Wzbijając się do góry,
I wibrując opadać.

Jego niebieskie oczy
po hiszpańsku prosiły:
– *nie patrz tak na mnie,*
bo kręci mi się w głowie,
bo nie mam sił ci się oprzeć,
bo będę musiał cię kochać,
i twojej miłości
będzie mi ciągle za mało.

- *To nie ja, to Santana*
 - powiedziała white woman.
 - Popatrz...
- Idzie odwilż...

Edyta Moskwa

Nie odchodź

Zrobić coś bardzo szybko, to prawie jakby nic nie zrobić. Kiedy zabijam owada, robię to błyskawicznie. Wtedy on nawet nie poczuje, nie zdąży zorientować się, że nie żyje. Zdziwiony mógłby zapytać: to już?

Tą filozofią kierowałem się w życiu. Nim ktoś zadał cios, atakowałem; rzucałem, zanim zrobiła to ona. Raniłem ludzi. Kariera i pieniądze, to był mój cel. Mogłem mieć wszystko, ale ja zachłannie zagarniałem swoje i nie swoje. Odgryzałem więcej, niż mogłem przełknąć. Założyłem własny ogródek, ogródek niegodziwości. Mogłem obserwować, jak wzrastają wszelkie odmiany pielęgnowanej nienawiści, jak mnożą się i krzyżują. A wszystko po to, żeby stwierdzić, że nie osiągnąłem nic. Zarosło moje sumienie. Zagubiłem się w tym gąszczu. Najlepsze lata zmarnowałem. Szybko, ale na pewno nie bezboleśnie.

Sam nie mogę wykonać najmniejszego wysiłku. Duszę się we własnym ciele, ogranicza mnie klatka piersiowa, uciska i uwiera. Mówienie to ciężka praca, mozolny proces, do którego musiałem się przygotować porcją tlenu. Towarzyszy mi tuzin opakowań z wypukłymi znakami Braille’a. Nie zostawią mnie. Mrugają za zamkniętymi powiekami z pozłotki. Grzechoczą przysięgę wierności – i nie opuścimy cię aż do śmierci. Przyszedł czas refleksji, czas na spowiedź.

Miałem naprawdę dużo szczęścia. Byłem wychowywany w cudownej atmosferze. Ludzie mówili na nas „święta rodzina” i matka była z tego dumna. Dom, jak mawiał ojciec, to „świętynia”. Miałem dość tej atmosfery, rodziców, brata, a nawet Boga. Cnoty były mi obce. Nie znałem ich, a one nie chciały poznać mnie. Sumienie mówiło mi: „czyń to, tamtego unikaj”. Udawałem, że nic nie słyszę. Uciekłem. Stałem się niezależny. Wtedy pieniądze i bycie kimś stały się życiową pasją. To wtedy robiłem najgorsze rzeczy. Bez opamiętania i bez hamulców niszczyłem ludzkie marzenia, przedstawiałem słowa w życiorysach, bawiłem się. A gdy sytuacja mnie przerosła, znalazłem alkohol. Klepał mnie po ramieniu jak przyjaciel. Zapraszał do kafejek. Pozwalał nie myśleć. Nie czuć. Przygarniał, mamił, aż w końcu połknął całego. Przetrawił boleśnie i wypluł pod sklepem. Porzucił jak marną ludzką szmatę.

Trafiłem do szpitala. Wykapały mnie obce kobiety. Obcięły zapuszczone paznokcie, ogoliły. Przestały mieć dla mnie znaczenie przestrzeń i czas. Pochłaniały mnie własna słabość i szpitalne łóżko. Zacząłem obserwowować. Wąchać. Smakować. Żyłem zmysłami. Jak zwierzę żerowałem i załatwiałem podstawowe potrzeby. Nic więcej. Przeniesiono mnie na inny oddział. Do miejsca, gdzie się nie biega. Widziałem skupione twarze, a z czasem dostrzegłem za nimi ludzi. Krążyły wokół pielęgniarki, uwijali się lekarze. Byli powietrzem, które mnie przenikało. Wchodzili w moją psychikę, moje żyły i tętnice. Zaglądali w płuca i serce. Obejrzeni moje komórki i wysłali wycinki. Aż w końcu opisali mój przypadek. Rozpoczęła się gra. Gra w: masz raka. Potem zostałem wtajemniczony w jej reguły. Nie podobało mi się tylko, że i tak przegram.

Spoglądałem trzeźwo na ludzi, zdziwiony, że są bezinteresownie dobrzy. Tęskniłem do bliskich mi osób i po raz pierwszy od bardzo dawna zastanawiałem się, co słychać u mojej rodziny. Około miesiąca temu dzwonił mój starszy brat (cudowne dziecko, duma rodziców, mój najlepszy przyjaciel), nie odebrałem telefonu. Nagrał wiadomość, ale nie miałem dość sił, żeby ją odsłuchać.

Zacząłem wypatrywać cnót w ludziach. Przysiądałem na krzesłach. Ogarniałem wzrokiem sale i ich wnętrza. Zmieniałem się.

Był w siódemce staruszek. Miał cudowne dzieci (także wiekowe), które przychodziły na zmianę. Przynosiły mu zakupy, zabierały jego brudne koszule. Całowały go, choć był stary i niecznośny. On chciał więcej. Przychodzą tu po pieniądze – powtarzał. A ja mu zazdrościłem.

W sąsiedniej sali leżał mężczyzna, któremu niedawno zmarło dziecko. Mówili, że miał depresję, czy coś podobnego. Choć mógłby wszystko robić sam, trzeba było go zmuszać. Nie rozmawiał. Tylko leżał zniechęcony i patrzył. Wyglądał jakby umarł razem ze swoim ukochanym dzieckiem. To, co leżało na tym łóżku, to jedynie jego ziemską powłokę, którą porzucił. Ciało porzucone przez duszę. Bałem się tego ciała. Bałem się, że mnie zauważy. Miałem wrażenie, że jest ono w stanie przewiercić na wylot innych ludzi. Jakby szukało nowej duszy. Zacząłem się modlić w obronie mojej.

Największe wrażenie zrobił na mnie mój sąsiad z trójki. Gdy trafił na oddział, był zagubiony. Żona błagała go, żeby jej nie opuszczał. Gdy wychodziła, mógł wyrzucać z siebie smutek. Wiem, że nie chciał się przy

niej rozklejać. Przy niej zawsze był odważny. Silny do końca. Dojrzywał do swojej śmierci szybko. Po tygodniu pocieszał żonę i innych bez nadziejnych. W tym mnie. Nie wiem, jak to robił, że udawało mu się cieszyć z tych ostatnich chwil. Gładząc główkę najmłodszego dziecka, uśmiechał się.

– Mam wspaniałe dzieci – mówił. Zostawiam po sobie życie.

Znów prosiła, żeby jej nie opuszczał.

– Ja cię nie opuszczam – krzyczał – tylko umieram!

Udało mu się przerwać jej odrętwienie. Zaczęła myśleć. I tak przyjęła do wiadomości, że są rzeczy nieuchronne, że musi się spieszyć. Przywiozła księdza, który wypowiadał go i rozdał komunię świętą. I ja, choć nie powinienem, przyjąłem ją zachłannie.

Gdy umierał, czekałem. Na ten moment w życiu. Taki był odważny, a odszedł cicho.

Obserwowałem pewną pielęgniarkę. Była urocza, nieśmiała, zwyczajna. Z małymi delikatnymi dłońmi. Siostra Anna. Przychodziła tu ze spuszczoneymi oczami. Inna niż pozostałe kobiety w moim życiu. Tamte były wulgarne, narzucały się. Chciały być zauważone. Moja Ania (jak ją nazywałem w myślach) uciekała przed spojrzzeniami, rumieniała się. Nie wiedziałem na początku, co mnie oprócz tej powierzchowności w niej pociąga. Wypatrywałem tego czegoś. Jej widok cieszył, przyciągał. Wnosiła ze sobą ciepło. Poświęcała chorem czas. Rozmawiała z nimi. Gładziła nierówności, aż ludziom miękły serca. Płakali jej w te drobne ręce, a ona przyjmowała to chętnie. Moja Ania omijała naszą salę z sobie znanych powodów. Z pewnością czuła przy mnie skrępowanie, bo nie patrzyła nigdy w moją stronę. Mimo to, a może właśnie dlatego, życie nabierało sensu i wartości.

– Pani Aniu, proszę pobrać badania u pana Tomka – wskazał mnie doktor.

Ania wyszła, aby wrócić w rękawiczkach, uzbrojona w igłę. Pochyliła się i spojrzała na mnie po raz pierwszy.

– Ukłuję, zaboli – powiedziała. Zarumieniała się na dźwięk własnego głosu.

– Nie szkodzi – odparłem.

– Założyłam panu nowe wkłucie.

– Czy to taki stały dostęp do mojego wnętrza?

Uśmiechnęła się.

– Nie myślałam tak o tym, ale to prawda. Jest to sposób na szybkie dostanie się do czyjegoś ciała.

Nagle posmutniała.

– Dlaczego pani jest smutna?

– Przykro mi – odparła i wyszła.

Tego dnia myślałem o tej chwili. Pieściłem w sobie złudne nadzieje. To wyglądało tak, jakby jej zależało. Po południu poszedłem do lekarza, aby jeszcze raz porozmawiać o moich szansach na wyzdrowienie.

– Próbujemy robić, co w naszej mocy – rozwlekał się – ale wyniki nie dają zbyt dużej nadziei. Oczywiście nie wolno się poddawać, jednak trzeba mieć też na uwadze...

...Próbujemy tego i owego, nie będzie pan cierpiał i tak dalej... przykro mi... Po co to wszystko? – myślałem. Jaki jestem naiwny. Więcej nie musiałem wiedzieć. Wyszedłem nie widząc nikogo. Wiedziałem wystarczająco dużo. Wypisałem się na własne żądanie.

Moje mieszkanie jak i ja zmarniało. Razem ze mną psuła się żywność, w lodówce. Płakał kran w łazience. Wszystko uschło, skurczyło się. Padłem na łóżko i zamknąłem oczy, wyobrażając sobie, że już umarłem. Ale nie wiedzieć czemu, tak bardzo bolało mnie istnienie. Wieczorem w kuchni, robiąc kolację, rozsypałem bułkę. Rozbiegła się we wszystkie zakamarki podłogi, pod szafki. Musiałem wyglądać żałośnie próbując ją zebrać. Usiadłem zrezygnowany na posadzce. Rozsypałem się i ja. Nie miałem szans na pozbieranie. Zawyłem jak ranne zwierzę.

Nie jadłem. Przewracałem się po wstaniu. Wstawałem, aby znów się przewrócić. Dzwonił telefon, ale zerwałem kontakty ze światem. Przecież i tak mnie już prawie nie ma. I lepiej. Tak będzie lepiej. Zwłaszcza dla pewnej pielęgniarki. To będzie najlepsze, co w życiu zrobiłem. Zrezygnuję z niej, nie dopuszczę do tego, żebym ją do siebie przywiązał. Nie chcę, żeby płakała. Wtedy zdawało mi się to szczytem mojego męstwa, rozważgi, roztropności, a nawet wstrzemięźliwości. Poświęciłem przecież moje ostatnie chwile życia w szczęściu z Anną. Nie mogłem dać już nic więcej – tak myślałem.

Nie liczyłem już na nic. Nie miałem przyjaciół, nikogo. Jaką niespodzianką był dla mnie fakt, że ktokolwiek zagłąda do mnie. Ktoś wszedł po cichu jak złodziej. Nie poruszyłem się, nie odezwałem. Brakowało mi

sił na gesty. Wchodźcie – myślałem – bierzcie, co wam się podoba. Zostawcie mnie tylko w spokoju.

Ktoś zajrzał do sypialni, słyszałem drobne kroki, otworzyłem odważnie oczy, żeby spojrzeć natrętowi w twarz i nie wierzyłem własnym oczom: Anna. Moja Ania. To nie prawda – zaprzeczyłem sobie. Jak? Skąd? Nie jadłem od kilku dni, mogłem mieć przywidzenia. Patrzyłem na nią, nie wierząc własnym oczom. Usiadła obok mnie, przyjrzała się mojej zarośniętej, wychudzonej twarzy, obrzuciła spojrzeniem pomieszczenie. Bez słowa podeszła do okna i stała tam przez dłuższy czas. Wstrząsały ją niewypowiedziane słowa. Szarpały się w niej. Ja śledziłem ten piękny obraz jak we śnie. Chciałem coś powiedzieć, lecz nie mogłem, chciałem się ruszyć, ale moje członki ociężyły nie pozwoliły na najmniejszy wysiłek. A więc śnić – tłumaczyłem sobie.

Otworzyła okno. Potem poszła do kuchni, słyszałem, jak pluszcze woda w zlewie. Dźwięki życia wypełniły mieszkanie. Potem wyszła. Ciśsza dzwoniła mi w uszach. Wszystko zamarło. Nie wstałem. Nie upewniłem się, czy to sen. Bałem się rozczarowania. Czekałem na powrót, a ona wróciła szybko. Klaskała jej lodówka. Tańczyły kluski w garnku. Wróciłaś – śpiewało mieszkanie. Ożywiłaś nas – cieszyły się szafki. Przyszła do mnie. Poprawiła poduszki. Zmieniła koszulę. Musiała mnie karmić, żebym coś przełknął. Krztusiłem się, dławił mnie wstyd, słowa stały mi kołkiem. Nie zdziwiła się, że wszystko zwracam. Podała mi ręcznik, przytrzymała opadającą głowę. Posprzątała mój bałagan. Osłabiło mnie to obserwowanie jej, śnienie takich snów bardzo wyczerpuje. Nie powiedziałem „nie odchodź”, ale i tak została. Zasnąłem.

Pobudka była bolesna. Żołądek ściśnięty jak wyschnięte jabłko nie chciał przyjmować pokarmów. Ania właściwie nie rozmawiała ze mną, nic nie tłumaczyła. Sam zrozumiałem, że adres mogła wziąć z dokumentów szpitalnych. W moim życiu na nowo pojawił się brat. Przyjechał na szczęście po tym, jak Anna poprawiła mój wizerunek, ale i tak musiałem wyglądać żałośnie. Widziałem to po jego minie. Co mu jest – pytał Anię? Od jak dawna jest z nim tak źle? (Kim jesteś? Jak ci dziękować? – pytały jego oczy). Był piękny ten mój brat, Piotr. Prawdziwa skała. Dorósł do swojego imienia.

Razem owinęli mnie kocem, brat wziął jak dziecko na ręce, niósł mnie do samochodu. Ania dreptała wkoło, pilnując, żebym nie odleciał.

Taki byłem lekki. Koc rozłożył się jak skrzydła. Minąłem zdziwioną sąsiadkę, niczym wielki ptak. W samochodzie milczenie rosło i wypełniało oczy, piekło. Piotrkowi, skale, drżały dłonie.

Siedzę tu z nogami w ciepłych skarpetach, ułożony jak lalka. Walczę o każdą godzinę. O oddech, o moje zbawienie. Po raz kolejny szukam wsparcia w widoku za oknem. Kusi podwórze w wiosennej zieleni, trawa zaprasza w ukłonach. Mój wzrok ucieka dalej. Szukam obłoków, miękkich kształtów, ciepłych kolorów przebaczenia. Tam chcę iść. Zieleń nie koi moich nerwów, to dla mnie za mało.

Ania i Piotr kochają się. Ukrywają to przede mną, jakby to mogło coś zmienić. Są wspaniali, piękni, nie mogło być inaczej. Jak mógłbym się na nich gniewać? Troszczą się o mnie jak o własne dziecko. Karmią, przewijają, ubierają. Szukałem cnót i oto są. Widzę je w nich. Czasem tylko napada mnie niepewność, trudna do opanowania panika. Szukam wtedy oparcia pod nogi i ręce, znów duszę się sam w sobie. Tracę siły. Wiare. A jeśli zostaliśmy oszukani? Jeśli nie ma TAM nic? Boże, z m i ł u j się nade mną słabym.

I nagroda w Ogólnopolskim Konkursie Literackim
Fundacji Gargano 2012

Tomasz Mroczkowski

Wygnańcy

Pod dach przyjęłaś tych których nie chciał nikt
Taki zwykły ludzki gest
Zapłaciliby lecz nie mieli czym
Bóg im dumne serca dał
A tu w kieszeniach pustka
I na spękanych ustach z drogi kurz
I kark złamany i na stopach rany nie bołą już
Tylko gniew rozgrzany za ojczyzny kajdany
Odbiera sen i wylewa się na cały świat
Drogi dwie – na nich krew
Walczyć?
Poddać się?
Ślepa noc ślepy dzień
A na plecach zimny oddech zła
Odeszli skoro świt
Nie zatrzymał nikt
W sercach został smutek żal
Zapłaciliby lecz nie mieli czym
Bóg im dumne serca dał

Roussana Alexandrova-Nowakowska

Komunikat budowlany

Siódme niebo
zawaliło się
pod ciężarem następnych pięter oczekiwań wszystkiego najlepszego.
Spod gruzów wypełzły nadzieje
na jeszcze więcej.

Godziny szczytu

Korek pęcznieje,
najeżony samochodami.
Skrzyżowanie krzyżuje plany
i opuszczone ręce wiąże w supeł.
Na zewnątrz warczą maski,
świszczą skrótury wiadomości.
Korek pęcznieje.

Fart

Wygrałeś! Dają!
Przecież nie posiadasz!
Dostaniesz za nic! Musisz! Masz!
Nie można nie chcieć – wszyscy chcą!
Okazja na wyczerpaniu.
Jutro nie będzie!
Każdy weźmie.
Ostatnia szansa.
Podpis...
Już.

Gdy diabeł dzieci kołysze

Dawno temu, w naszym świecie, tym prawdziwym, a nie wymyślonym, żyła sobie dziewczyna. Była piękna i mądra, a majątna tak bardzo, że do dziś nikt w bogactwie jej nie dorównuje. Wielu spierało się o to, czy urodę odziedziczyła po dziadku, słynnym amancie, czy po ojcu, walecznym uwodzicielu. Panowie byli jednak pewni, że po kądzieli, czyli po matce czy prababkach nie dostała w schedzie niczego wartościowego prócz majątku. W tamtych czasach kobiety nie posiadały innych zalet niż te materialne, w ziemiach i złocie wyliczalnych. Oczywiście było lepiej, gdy miały urodę, choć ta, jak powszechnie wiadomo, ulotną jest, była i będzie, więc koniecznie musiały mieć pieniądze.

Nasza bohaterka takich problemów nie miała. Martwił ją raczej nadmiar wszystkiego. Zarówno pieniędzy, jak i urody. Mądrość swą sprytnie ukrywała, gdyż wiedziała, że żaden mąż nie połakomi się na dobrodziejstwa rozumu. Sprawa jej małżeństwa była bardzo ważna, ponieważ mniej więcej trzy czwarte terenów królestwa należało do niej. Nie były to obszary lenne tylko alodium, dziedziczone z dziada i pradziada. Jedy- nym kandydatem godnym akceptacji był sam król. W podróż poślubną, troszkę spóźnioną, pojechali na bliski wschód. Hasło ekskursji brzmiało: Polityka, sport i rozrywka. Ot, taka pielgrzymka połączona z zabiciem paru niewiernych i kilku Maurów. W tamtych czasach podobne voyages były wśród rycerstwa cenione i popularne.

Niestety już w czasie morskiej przeprawy okazało się, że związek jest nieudany. Królowa pochodziła znaną z morza południowego – miała skłonności raczej do tańca, a król wychowany nad morzem północnym był raczej do różańca. Nawet kolejne dziecko (znowu córka) nie poprawiło stosunków małżeńskich. Rozwiedli się. Tylko czy piękna i zasobna w bogactwa rozwódka może długo cieszyć się wolnością?

Prawie natychmiast zaczęli krążyć wokół niej zalotnicy, a co jeden to lepszy i bogatszy. Byłej królowej nie zależało już tak bardzo na splendorze i majątku, oczekiwała tylko miłości. Zdecydowała się na Henryka,

który pochodził z dobrej, starej rodziny i co prawda nie był za bogaty (jak na jej standardy), ale z perspektywami. Nie chciała już być królową, pragnęła tylko prawdziwych uczuć i to gorących.

Wybrany przez nią kandydat, pomimo że pochodził znanym z morza północnego, okazał się przeciwieństwem swojego poprzednika. Niestety zanim urodziła mu pierwsze dziecko, znowu została koronowana – została królową Deszczowego Państwa położonego na wyspie i tam musiała zamieszkać. Niechętnie opuszczała swe rodowe włości, ale inaczej postąpić nie mogła. Pocieszała ją myśl, że będzie przecież tam wracać, by zarządzać majątkiem.

Obydwoje z mężem okazali się świetnymi władcami. Mężowi co prawda trochę przeszkadzała mądrość i zaradność żony, ale czego się nie robi dla korzyści. Po dwóch czy trzech dekadach mogli stwierdzić, że odnieśli sukces. Panowali i zarządzali najnowocześniejszym i największym terenem, który przynosił znaczne zyski. Królowa rodziła kolejne dzieci. Ich przeznaczeniem było bycie władcą lub żoną władcy. Córki już jako dzieci były zaręczane i wysyłane na sąsiadujące dwory królewskie. Synowie zaś – po odchowaniu przez preceptorów przyjeżdżali na rodzinny dwór, by uczyć się fachu.

Dopiero gdy progenitura wróciła, królowa zdała sobie sprawę, że wydała na świat zupełnie niezłą gromadkę. I to bardzo różnorodną. Dumni rodzice z radością pomyśleli, że mają z czego wybierać następcę.

Najstarszy, Henryk (imię odziedziczył po ojcu) wyrósł na pięknego i silnego mężczyznę. Świetne wykształcenie, jakie otrzymał, predysponowało go do przejęcia schedy po ojcu. Niestety zarządzanie nie bardzo go interesowało i cały swój wolny czas poświęcał pojedynkom konnym. W krótkim czasie poległ w turnieju. Pozostała po nim narzeczona, którą zaopiekował się jego tatuś. Możemy domniemywać, że poczuła się niepotrzebna. Boleśnie doświadczyła tego uczucia, o którym wiedziała od dzieciństwa, ale rzadko zdawała sobie z niego sprawę: że jest warta tyle, ile ma majątku.

Kolejny syn serce miał waleczne niczym lew, ale bardzo lubił zamorskie podróże, bo źle znosił zimny klimat wyspiarskiego Deszczowego Królestwa. Był faworytem matki, która uwielbiała go za urok i wdzięk oraz za to, że bardzo przypominał jej męża. Ale nie tego, jakim się stał

po wspólnie przeżytych dwudziestu latach, tylko tego młodego: pięknego mężczyznę, z którym się kiedyś zaręczyła.

W przeciwieństwie do ojca młody Rysio nie był podrywaczem i uwodzicielem młodych dam. Wolał wojaczkę z kolegami. Kochał kumpli, złoto i walkę. Chwała należała mu się niejako z przydziału. Traktował sławę jak naturalny bonus od losu. Rodzicom trudno było utrzymać takiego syna w domowych pieleszach.

Trzeci z kolei Gotfryd był mniejszy i drobniejszy od swoich braci, ale za to miał niezwykle błyskotliwy umysł, dar wymowy i przekonywania. Te umiejętności zdobył już w dzieciństwie, gdy starszym braciom musiał ustępować, bo jako silniejszy wymuszali posłuszeństwo, a młodszemu, bo był słabszy i głupszy. Młode lata spędzone na negocjacjach i kompromisach sprawiły, że był najlepszym kandydatem na władcę, ale ojciec go nie lubił. Zresztą trudno mu się dziwić, królewska ambicja źle znosiła świadomość, że potencjalny następca okaże się lepszy niż on sam.

Najmłodszy syn okazał się najmniej atrakcyjnym kandydatem. Nie zachwycał ani wyglądem, ani inteligencją. Był gnuśny i podstępny, ale tatuś szalenie go kochał.

Zresztą król swoją progeniturę traktował jako największe zagrożenie, zawsze czyhającą na niego konkurencję. Patrząc na swój ulubiony arras, przedstawiający orła walczącego z czterema sepami, zwykł mawiać: to ja i moi synowie.

Tak – od podejrzeń i nadmiaru – zaczęły się prawdziwe kłopoty z wyborem. Każdy, kto posiada liczną rodzinę, wie, co oznaczają rodzinne waśnie, a wszyscy, którzy mają rodzeństwo, wiedzą jak krwawe i bezwzględne mogą być kłótnie o suty spadek.

Król autorytarnie rację przyznawał zawsze sobie, ale królowa była mądrzejsza. Niestety w jej wieku nie mogła już liczyć na swój największy atut, urodę. Jednak uparcie sama chciała decydować o własnym majątku, a na takie fanaberie prawdziwy mężczyzna nie mógł pozwolić.

Dość powiedzieć, że królowa została osadzona w więzieniu na lat piętnaście. A ojciec i synowie kontynuowali batalię. Gdyby nie działania siły nadprzyrodzonej, na której istnienie nie znaleziono jak dotąd twardego dowodu, nie wiadomo jak skończyłaby się ta historia. Jednak

skończyła się dobrze. Wiercie mi, że tak. Nie nastąpił koniec świata... Nawet diabeł, który zbyt pobłażliwym wychowaniem zepsuł charaktery książąt (przecież rodzice nie mogą być winni, zawsze chcą dla swoich dzieci jak najlepiej), nie zapanował nad wszystkim i wszystkimi.

Ciąg dalszy może nastąpi, chociaż jak to bywa w bajkach, następnym królem został najgłupszy.

Anna Rębosz

Szukanie

– Ona zrobi wszystko, aby go ocalić. Jest na to gotowa. Pójdzie za nim wszędzie i wytrwa, a ja będę przy nich. Jeszcze zobaczysz, że moja Lidia zadziwi całe Niebiosa. Zmierzy się z demonami i zwycięży.

– A więc to jeszcze nie jest koniec?

– Skądże, moja droga! Kiedy on nastąpi, wszystko będzie dobrze. A jeśli teraz nie jest, to tylko znaczy, że to jeszcze nie koniec. – Pat przeciągnęła się, zamknęła skończoną powieść i wyjrzała przez okno na mikroskopijski taras z ich własnym, bordowym hamakiem rozpiętym pod dachem drewnianego domku. Po przymknięciu okiennic pokój mógł dawać namiastkę intymności, pomimo że z hostelowego baru pod podłogą dochodził gwar młodzieży zjadającej się hamburgerami. – Jeśli nie jest dobrze, to tylko oznacza, że to jeszcze nie koniec... – powtórzyła Pat mimo woli.

– Musimy stąd szybko wyjść, zapachy z kuchni są nie do wytrzymania. – Vincent potknął się o jej ciężki plecak i przestawił go na drugą stronę łóżka. – A na dole podają zimne piwo.

– W porządku. – Pat zamknęła okiennice, przebrała się w czystą, czerwoną koszulkę i wsunęła szczoteczkę do zębów do kieszeni czarnych bojówek.

Po wąskich, skrzypiących schodach zeszli wprost na hostelowe patio. Kiedy minęli wiatę z materacami po dwa dolary za noc, Pat przystanęła zauroczona. Jedną ze ścian patio tworzyły grube pnie drzew, nad stolikami i fotelami z surowego drewna kołysały się liście palmy, a belkę pod zadaszeniem, ozdobionym indiańskimi tkaninami, okupowały dwie kolorowe papugi, sprzecząc się głośno i bez skrępowania. Młodzieżowy hostel tonął w zieleni i wakacyjnej, niczym nieskrępowanej swobodzie, podczas gdy promienie zachodzącego słońca grały w berka z kroplami deszczu na liściach rozłożystego bananowca. W rzędzie starych, wysiedzianych foteli, długowłosa blondynka czytała gruby przewodnik, a tuż obok skupiony czterdziestolatek nie przestawał uderzać w klawisze podróznego laptopa.

Vincent usiadł na kanapie niedbale przykrytej dziurawą kapą w niebiesko-zielone pasy i niemal natychmiast zaczął wdzięczyć się do białego kota leżącego na oparciu. Pat znała jego słabość do kotów. Kiedy na tajemniczą chorobę zdechł jego ukochany Pers z Niebieskimi Oczami, przygarnął z podwórka rudego, zabiedzonego dachowca. Dziki, podwórkowy kociak nie pozwalał trzymać się w ryzach i Patrycja nie poznawała Vincenta, gdy z błyskiem w oku opowiadał o Słodkiej Kici, która wylegiwała się w jego pachnącej, adamaszkowej pościeli i każdego poranka dosłownie wchodziła mu na głowę. Teraz kątem oka obserwowała jak Vincent delikatnie głaszcze mruczącego malca po pyszczku, choć kot zdawał się tego w ogóle nie zauważać.

Położyła swój dziennik podróży na wielkim stole uważając, by nie znaleźć się w bezpośrednim zasięgu wciąż kłócących się papug i wyjęła z kieszeni długopis.

– Kawa? – Vincent nagle stracił zainteresowanie niewdzięcznym kociakiem.

– Tak, poproszę – odpowiedziała. W chwilę później postawił przed nią kubek kawy, dokładnie takiej, jaką lubiła. Słodkiej, parującej, z dużą ilością spienionego mleka. – Zrobię ci zdjęcie. – Poszedł do pokoju po aparat fotograficzny i cyknął kilka fotek. – Wieczorem wyświetlają tu „Apokalypso” – przeczytał ogłoszenie przybite dużym gwoździem do drewnianego słupa. – Oglądałaś?

– Tak. Opowieść o owianej tajemnicą cywilizacji Majów według wizji Mela Gibsona. Indiański Schwarzenegger, wielka namiętność, dramat i walka o życie w sercu jukatańskiej dżungli. – Pat podniosła głowę znad cienkiego zeszytu. – Ale mnie film się nie podobał. A już ostatnia scena rozbawiła mnie do łez, przerysowana, jakby wycięta z taniego komiksu. Lecz w tym miejscu to odpowiedni film. W końcu jesteśmy na terenie Imperium Majów. – Uśmiechnęła się. – Jutro obejrzymy piramidy, z których spływały rzeki krwi, a odcięte głowy spadały wprost pod nogi pełnego nadziei tłumu. Nadziei na deszcz i wieczne zbawienie oczywiście. – Gdy już Patrycja zaczęła mówić, trudno ją było zatrzymać. Vincent uśmiechnął się, ale nie podjął tematu. Skupił się na przeglądaniu książek, które na regale pod ścianą zostawiali goście z całego świata. Historia nie była jego pasją, bardziej interesowały go współczesne sto-

sunki społeczne i gospodarcze, zwłaszcza w krajach Trzeciego Świata. A te tematy były Patrycji całkowicie obce.

Pat

W ich wspólnych włóczęgach po świecie było coś magicznego i nieuchwytnego. Coś, co niepokoiło Pat, drażniło ją i wymykało się spod kontroli. Bo Vincent dbał o nią i jej bezpieczeństwo, był czujny i troskliwy. I niezmiennie zdystansowany. A Pat, choć nadal wiedziała o nim tak niewiele, ulegała urokowi każdego kilometra przemierzonych razem dróg. Lubiła godziny milczenia w dusznych, rzęzących ze starości lokalnych minibusach, dzielenie się ostatnimi kroplami wody i układanie wieczornych planów na kolejne dni. Nie przeszkadzało jej, gdy wpadał w irytację bez powodu i bawiło ją nawet, gdy wielokrotnie w ciągu dnia zaprzeczał sam sobie.

Tymczasem wyszli na spacer wokół małej wyspy, ciasno zabudowanej pensjonatami i restauracyjkami serwującymi meksykańskie przysmaki. Po popołudniowej ulewie rozkopana droga cuchnęła mułem. Słońce schowało się już za taflę jeziora, a na niebie pojawił się księżyc w pełni.

– Masz swoją pełnię księżyca. – Vincent zatrzymał się, by popatrzeć w czyste, wieczorne niebo. – Gdzie byliśmy w tym czasie w ubiegłym roku? – spytał.

– Miesiąc księżycowy ma tylko 28 dni, więc to nie było dokładnie rok temu – powiedziała Pat, natychmiast zła na siebie za znane ukłucie blisko serca i lęk przed snuciem jakichkolwiek wspomnień. Wiedziała, że najdrobniejsze dotknięcie wspólnej przeszłości naruszy jej utrzymywaną z wielkim trudem równowagę. Nie chciała rozmawiać o Azji, nie chciała o niej nawet myśleć. Sama przed sobą udawała, że nie interesuje jej pancerz, pod którym ukrywał się Vincent. I nie pytała go nigdy o nic, choć wciąż miała nadzieję, że kiedyś jej o sobie opowie.

Patrycja chciała tylko jednego. Chciała, by Vincent ją kochał. A on kochał się z nią, ale nie kochał jej. Tak przynajmniej sądziła Pat.

W restauracji nad brzegiem jeziora zjedli wczesną kolację. Nic specjalnego, burrito z mięsa wieprzowego. Tym razem Pat skubnęła tylko trochę sałaty i patrzyła, jak Vincent pochłania ogromną, tłustą porcję.

Lubiła patrzeć jak je. Był jedną z nielicznych osób, które pochłaniały jedzenie tak szybko jak ona. Pat uważała, że ludzie biesiadujący przy stole bez końca w podobny sposób okazują swój apetyt na życie – powściągliwy i opanowany. Ona miała apetyt niepokromiony. Vincent też.

Nie był pierwszym mężczyzną w jej życiu, ale pierwszym, który przejawiał tak nieograniczoną potrzebę pochłaniania doświadczeń, przestrzeni i doznań. Umiał być przy tym czarujący, ale nie zdarzyło mu się przekroczyć wyznaczonej granicy.

– Jedz, proszę. Przecież to wspólna kolacja. – Vincent podsunął jej pachnące smażone mięso z warzywami, zawinięte w przypieczony, kukurydziany placek. Patrząc mu w oczy ugryzła wielki, smakowity kęs, bo Vincent bardzo dbał, by wszystko dzielili na pół. Trzymał ich wakacyjną kasę i bardzo ważna była dla niego wspólnota wymienianych w kantorach dolarów. Szukał najbardziej korzystnego kursu i każdego wieczoru z wielką powagą zdawał jej sprawozdanie z wydatków, a ona uprzejmie udawała, że słucha. Czasem tylko śmiała się, że bez niego wydałaby większość pieniędzy już w pierwszym tygodniu podróży.

Kolacja była skończona. Hałas coraz częściej przejeżdżających samochodów stał się nie do zniesienia, więc zaczęli szwendać się po wąskich uliczkach wewnątrz wyspy. Młodzi Amerykanie, Kanadyjczycy, Brytyjczycy i Niemcy chodzili gromadnie, śmiejąc się głośno, a Vincent po akcencie bezbłędnie poznawał, skąd pochodzą. W końcu przemierzył niemal pół świata, mieszkał w kilku krajach i mówił sześcioma językami.

Pat zastanawiała się, dlaczego Vincent wybrał młodzieżowy hostel, skoro na wyspie niemal w każdym budynku mieścił się przytulny hotel lub kuszący domową atmosferą pensjonat. Ale musiała przyznać, że hostel bardzo jej się podobał. Wołała niezobowiązujący luz niż obcość eleganckiego, hotelowego pokoju, w którym co najwyżej można było wymienić uprzejmie „hello” z recepcjonistą.

Wreszcie znaleźli nowoczesną pralnię z kuszącym szyldem „Czyste ubrania w jedną godzinę”. Młody Meksykanczyk wziął od Vincenta plastikową torbę z przepoconymi koszulkami, omiół ich spojrzeniem i zapytał wprost – Jak długo jesteście małżeństwem?

Pat odwróciła się szybko, by obejrzeć ogromne bębny suszarek stojących wzdłuż przeciwległej ściany. – Nie jesteśmy małżeństwem –

Vincent odebrał od Meksykańczyka kwit i ustalili, o której odbierze wysuszone ubrania.

Przed rozpoczęciem „Apocalypso” wzięli zimny prysznic w idealnie pachnących, przestronnych łazienkach.

– Właścicielem jest Holender, a oni fanatycznie dbają o czystość w sanitariatach – powiedział Vincent i długo śmiali się z obrazkowej instrukcji „jak-nie-używać-klozetów”.

– Mnie najbardziej podoba się, żeby nie sikać „na pieska” – zanosił się ze śmiechu. – A popatrz tutaj, nie wolno łowić ryb w toalecie. – Pat rozmazała makijaż ocierając płynące ze śmiechu łzy.

W zielonym patio młodzież wciąż popijała zimne piwo, ale udało im się znaleźć dwa wolne fotele i Vincent niemal natychmiast skomentował bieżące wiadomości CNN i zaczął rozwodzić się nad sytuacją gospodarczą na Kubie. Dawno temu skończył politologię, więc zasypywał ją mnóstwem gospodarczych i politycznych faktów ze świata. Zazwyczaj chłonęła nowe dla siebie informacje, ale teraz były jej całkowicie obojętne. I choć lubiła słuchać jego prześmiewczych opinii, zwłaszcza tych o europejskim snobizmie, kompleksach i nieuświadomianej klaustrofobii, skupiała uwagę wyłącznie na słuchaniu jego niskiego głosu i przyglądaniu się silnym palcom, na których nigdy nie nosił obrączki. Co mogła obchodzić ją Kuba, jeśli nie mogła lecieć tam z nim? A nie mogła i wiedzieli o tym oboje, ponieważ nie był to czas, gdy Amerykanie bezkarnie spędzali na Kubie wakacje.

Nastrój i luz dusznego wieczoru powoli udzielił się Vincentowi. Po dwóch piwach, z butelką zimnej coli zajął miejsce na kolorowej kanapie pomiędzy piękną, opaloną brunetką a czterdziestoletnim, podróżującym samotnie Kanadyjczykiem, który przyleciał na Jukatán, by – przy okazji wakacji – wyleczyć w Meksyku zęby. Zaczął się sens filmowy.

– Uzupełnię dziennik podróży – szepnęła mu do ucha Pat, bo Vincent lubił wiedzieć, gdzie był i co robił. – Mam zaległości od dnia mojej wycieczki na wulkan.

Kiedy szła poprzez płataninę drabin i schodków, wciąż miała w oczach jego spojrzenie i uśmiech.

– Szczęście ma zapach hamburgerów – napisała i zaczęła przyglądać się wielkiemu, staremu psu, który pochrapywał na klombie pod

kwitnącym kaktusem. – Szczęście brzmi śmiechem młodych ludzi w rytm latynoskiej muzyki. Szczęście smakuje jak rum z sokiem z melona i sól na szyi kochanego faceta. Czasem jest cieniem na duszy, a czasem cieniem przygaszonej żarówki otulonej pasiastą tkaniną. Szczęście to cykanie cykad i poczucie bliskości bez słów – myśli Pat rozwiewały się nieuczestnie, a ona nie chciała ich porządkować.

– Choć przecież brakuje mi właśnie tych słów – westchnęła, ale ostatniego zdania nie zapisała.

Swej wycieczki na wulkan Patrycja nie opisała w dzienniku podróży nigdy. Wystarczyło, że czuła pod stopami ciepłą jeszcze krew Ziemi, gdy tylko o wulkanie pomyślała. I słyszała metaliczny dźwięk, jaki towarzyszył uderzeniom drewnianego kija w jezor zastygłej już lawy. Kij dawał oparcie, gdy przeskakiwała ponad szczelinami pełnymi czerwonego żaru, a każde osunięcie się nogi w szczelinę gwarantowało nadpalenie nogawki płóciennych spodni.

Nie opisała też, jak Vincent żegnał się z nią o poranku, gdy wyjeżdżała na swoją wycieczkę nad jezioro. Odgarnął prześcieradło, którym była przykryta, podwinął jedwabną koszulkę i pocałował jej lewy, goły pośladek. – Uważaj na siebie i baw się dobrze! – powiedział.

To wtedy zostawiła mu na poduszce karteczkę z jednym zdaniem, napisanym zielonym długopisem. A potem nastąpiła cisza.

Patrycja zamknęła oczy, rozgoniła wspomnienia, dopiła ciepłą już colę i złożyła zeszyt oraz długopisy. Tak, „Apocalyto” było świetnym wprowadzeniem do jutrzejszej wizyty w Tikal, ruinach wielkiej metropolii Majów.

– Don't be afraid – dźwięczało jej w uszach, gdy szła na górę do małego pokoju.

Vincent

Vincent nigdy nie zastanawiał się, dlaczego poprosił Pat, by spędzili razem kolejne wakacje. Od czasu powrotu z Azji nie widzieli się przez jedenaście miesięcy, choć dzieliło ich tak niewiele ulic i kilka stacji metra. Ale po roku spotykania się z różnymi kobietami wiedział, że chce podróżować tylko z nią.

Nie znał Patrycji zbyt dobrze. Wciąż nie wiedział, co robi ani gdzie pracuje. Nie zadawał jej pytań, a ona opowiadała tylko to, o czym sama chciała mówić. Podobało mu się, że umiała także milczeć i dobrze się z tym czuła. Czasami, jadąc po bezdrożach kolejnych krajów, nie rozmawiali ze sobą całymi godzinami. Ale lubiła pisać. W niezliczonych kilobajtach e-maili, które napisała w ciągu tych jedenastu miesięcy, poznał część jej smutnej przeszłości. To pewnie ta przeszłość sprawiała, że Pat popłakała się na promenadzie spacerowej w Hong Kongu. Pamiętał, jak stała zachwycona przed panoramą rozświetlonego o północy wybrzeża i ukradkiem ocierała łzy. Milczał wtedy, bo co mógł powiedzieć? Nie umiał i nie chciał umieć pocieszać zapłakanych kobiet, choć wiedział, jak ważna jest dla Patrycji jego bliskość. – Przy tobie czuję się prawdziwą kobietą – mówiła, a on wciąż nie miał pojęcia, co to w jej ustach znaczyło.

Sam nigdy nie odważył się zapytać siebie, jak bardzo bycie z Patrycją jest ważne dla niego.

Miał dość kobiet, z którymi dotychczas podróżował. Kłóciły się o wszystko, choć nigdy nie wiedział, o co tak naprawdę im chodziło. Zawsze chciały rządzić i mieć ostatnie słowo. Wtrącały się do jego planów, nie chciały ani zwiedzać, ani szwendać się po bezdrożach bez celu. Wołały spędzać czas w eleganckich knajpkach i wybierały zwykle najdroższe hotele, na jakie mogli sobie pozwolić. Dlatego z żadną nie wytrzymał w spokoju dłużej niż trzy czy cztery dni. I jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że to one nie wytrzymały z nim.

Patrycja była inna. Nie straszne jej było maszerować w upale cały dzień i niemal wcale nie narzekała. Była wrażliwa i delikatna, choć skrywała swoją wrażliwość pod maską cynizmu i chłodu. Ale Vincent nie chciał wiedzieć, dlaczego Patrycja to robi.

Teraz, kiedy siedział na kanapie oglądając kolejne sceny „Apokalypso”, przypomniał sobie ostatnią noc ubiegłorocznej podróży do Azji. W zaśmieconym i niebotycznie drogim hotelu w Hong Kongu dostali pokój z dwoma pojedynczymi łózkami. Widział, jak Pat ukryła grymas niezadowolenia, ale na dalsze poszukiwania hotelu nie mieli już siły ani ochoty.

Kiedy opłukali się w zimnej wodzie i Vincent zgasił światło, poczuł ogromną potrzebę, aby znów dotknąć Patrycji. Być może już wtedy wie-

dział – spotkają się dopiero następnej jesieni, bo bał się bliskości kobiet i jakiegokolwiek emocjonalnego zaangażowania. Cierpła mu skóra na samą myśl, że Pat mogłaby znów zostawiać w jego zlewie brudne talerze i zatłuszczoną, upačkaną patelnię, jak wtedy, po pierwszej i jedynej kolacji, którą pozwolił jej przygotować w swoim domu.

Podobały mu się relacje z niektórymi poznanymi w klubie dziewczynami. Chodził z nimi na piwo i na spacer do rozległego parku, w którym można było znaleźć spokojne, nieuczęszczane zakątki. Te znajomości kończył po dwóch, trzech spotkaniach i szybkim seksie bez zobowiązań.

– Szukam czegoś, co być może nie istnieje, niemniej szukam – napisał do Pat pewnego letniego poranka. Odpisała, że rozumie, że ona też wciąż biegnie naprzód, czasem nie wie nawet dokąd i po co. – Jak świetliki na wietrze – pamiętał dokładnie jej słowa – gdzieś daleko, rozedrgane, przed siebie.

Tamtej nocy w Hong Kongu czekał, aż przyjdzie i przylgnie do niego całym ciałem, jak to zazwyczaj robiła. Ale Patrycja leżała na swoim łóżku bez ruchu, być może nawet już spała. I wtedy to on, Vincent, po raz pierwszy w życiu złamał swą niepisaną zasadę.

– Jakoś po mojej stronie wieje od klimatyzacji – powiedział, siadając obok niej na pościeli i natychmiast uznał to za idiotyczne tłumaczenie.

– Przytul się – powiedziała po prostu. Łóżko było tak wąskie, że przez całą noc nie mogła się pewnie poruszyć. Zasnęli prawie natychmiast, zmęczeni całodziennym zwiedzaniem Hanoi, długim wieczornym lotem i nocnym spacerem po promenadzie w Hong Kongu.

Miasto wstawało już bladym świtem, hałas z ulicy sięgał ich ósmego czy dziewiątego piętra. I tam, w Hong Kongu, o świcie, obejmując śpiącą kobietę, o której nic nie wiedział, zdał sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie było mu z nikim tak dobrze.

Teraz, kiedy oglądał „Apokalypso”, też nie chciał o tym pamiętać. Z przestrachem odsunął od siebie ubiegłoroczne wspomnienia, ale zupełnie nie mógł skupić się na filmie.

Nie przyznał się ani Pat, ani tym bardziej samemu sobie, jak bardzo obawiał się ich pierwszej wspólnej nocy w Meksyku. A teraz myślał tylko o zapachu jej włosów, gdy objęli się na lotnisku.

– Już się bałem, że nie przylecisz, sterczę tutaj od półtorej godziny, oczy mnie bolą od wypatrywania cię w tłumie – powiedział, a Pat stanęła na palcach, pocałowała go w szyję i odpowiedziała w niezmiennie w swoim stylu – To przecież takie miłe, że masz na kogo czekać, prawda?

Wspomnienia przychodziły, więc odrzucał je od siebie jak najszybciej i z całych sił starał się skupić uwagę na ekranie plazmowego telewizora. Vincent nie należał do mężczyzn, którzy zbyt długo pozwalali sobie na sentymenty. Już nie. Kiedyś może tak. Ale o dziewczynie sprzed dwudziestu lat także starał się nie pamiętać.

– Don't be afraid – na ekranie narastało napięcie. Syn wodza indiańskiego plemienia wiedział, że przed nadejściem pory deszczowej musi uratować swoją ciężarną żonę i małego synka, ukrytych w głębokiej studni. Wiedział też, że w obliczu miłości nie wolno okazać strachu, że jest mężczyzną i to sprawa honoru, by własnym łękiem spojrzeć prosto w twarz.

Vincent przyglądał się, oszołomiony, jego szalonej ucieczce przez gęstwinę dżungli. Wiedział, że ta dżungla jest mu znana, wiele razy w życiu czuł oplatające go pnącza, z których za wszystkie skarby świata chciał się jak najszybciej uwolnić. Poczul, jak znów brakuje mu tchu na wspomnienie dziewczyny sprzed dwudziestu lat, której nigdy nie odważył się powiedzieć słów, których rozpaczliwie oczekiwała i których nigdy nie odważył się powiedzieć komukolwiek. Sięgnął po łyk ciepłej już coli, pogłaskał białego kota, wciąż śpiącego na oparciu kanapy i już do końca filmu przesiedział z zamkniętymi oczami.

Seans zakończył się. Patio było niemal puste, widocznie większość młodzieży oglądała film wcześniej, w kinach. Patrycji też nie było. Restaurację dawno zamknięto, a to znaczyło, że w ich pokoju przestało śmierdzieć przepalonym olejem.

Po drodze umył ręce w lodowatej wodzie i znów roześmiał się, oglądając piktogamy z instrukcją „jak-nie-używać-klozetów”.

Pat bujała się w hamaku na tarasie, zapatrzona w konary drzewa, spoza których prześwitywała pełnia księżyca.

Rok wcześniej, podczas listopadowej pełni, siedzieli nad brzegiem Mekongu, w Luang Prabang w Laosie. – Ile razem państw przejechali-

śmy i ile kontynentów? – lubił rzucać pytania, na które ona niezmiennie odpowiadała – A ile jeszcze przejdziemy...

Vincent zupełnie nie rozumiał, dlaczego akurat dziś nie mógł odebrać się od wspomnień z Pat. Napływały i odpływały, przekraczając nieuchwytną i niezrozumiałą dla niego granicę. Na brzegu Mekongu brzęcząca w uszach cisza otuliła szeroką rzekę, na przeciwległym brzegu nie świeciło się ani jedno światło. Nad wodą osiadła mgła, z której zimne światło księżyca wykreowało surrealistyczną przestrzeń. Usiedli blisko siebie na wielkim, zmurszałym pniu drzewa. – Ależ tu niesamowicie – szepnęła w końcu Patrycja, a on przysunął się bliżej. Zadrżała i położyła mu głowę na ramieniu. Pod koronami wielkich drzew było tak ciemno, że ledwie widzieli zarys swoich twarzy. Objął ją i pocałował w policzek. A potem ona jego, zimna jak poświata księżyca.

Zdziwiło go to. Wiedział, że dziewczyny dają się ponieść chwilom pełnym podobnej magii – naiwne, niepoprawne romantyczki. I Vincent zapragnął kochać się z Pat, tam, pośród mgły i srebrzystej poświaty. Chciał, by poruszała się w rytmie uspionej przyrody, chciał znów usłyszeć, jak szeptem wyśpiewuje opowieści o miłości i rozkoszy, by jej ciało wyszło mu naprzeciw, by pochłonęło ukłucia w okolicy serca i jego odwieczne lęki.

Ale – wbrew swoim doświadczeniom i ku własnemu zdziwieniu – nie ośmielił się jej nawet dotknąć.

Teraz znów była blisko i znów pełnia księżyca zalewała światłem koronę wielkiego drzewa, szumiącego nad ich głowami. Wreszcie Pat spojrzała na niego, tym swoim nieodgadnionym spojrzeniem, którego wolał zazwyczaj unikać. Dziś jednak jej oczy ociepliła łagodna głębia. Zmrużyła powieki, patrzyła na niego miękko i tak jakoś nieobecnie. To było mgnienie, chwila dosłownie, gdy przejrzała go szóstym zmysłem i oblała go fala gorąca.

– Więc ona wie – pomyślał nagle spłoszony i znów odniósł wrażenie, że oplatają go pnącza równikowej dżungli. Powróciła chęć oszalałej ucieczki przed siebie, byle dalej od wrogów, śmiercionośnych strzał, ukłucia w okolicy serca, byle dalej od trupa we własnej szafie, kota, który budził o poranku kładąc szorstką łapę na jego zamkniętych powiekach. Chciał rzucić się do ucieczki w swój własny życiowy maraton, byle dalej,

i jeszcze, i jeszcze, choć właściwie nie wiedział, przed czym ucieka ani dokąd.

Patrycja wciąż patrzyła na niego ze spokojem, zatrzymała w kadrze bezładną pogoń jego myśli i tylko lekko poruszyła ramionami. Nie odrywając od niej oczu zaczął bujać hamak i zanucił starą, amerykańską piosenkę. Nagle odwrócił się i wszedł do pokoju. Czekał, aż przyjdzie i wiedział, że nie przyjdzie od razu, że jeszcze pobuja się w sznurkowym hamaku, wpatrzona w niebo i w swoje własne myśli.

Gdy weszła do pokoju i pozamykała szczerlnie okiennice, podał jej szklankę rumu z sokiem z melona. W blasku taniej świecy wciśniętej w butelkę po coli jej oczy wydawały się jeszcze bardziej nieobecne.

– Obiecałam, że tym razem pozwolę ci spać – powiedziała, z uśmiechem sącząc kremowy płyn.

– Ale ja ci nie obiecywałem – powiedział.

Kochali się bardzo powoli i bardzo księżycowo. Vincent uwielbiał, gdy Pat go dotykała. Zanurzyła palce w jego włosy, zdmuchnęła niewidoczny cień z ucha, językiem ledwo muskała jego usta. Blask palącej się świecy migotał w jej zamglonych źrenicach i Vincent zdał sobie sprawę, że tyle czułości i rozkoszy nie dostał od żadnej innej kobiety. I śmiało przekraczała granice. Pat we wszystkim przekraczała granice, więc tym razem też nie wahała się szeptać mu prosto do ucha słów, które miały nie padać, które były od zawsze zakazane.

– Kocham cię – powtarzała, całując go tak, jak tylko ona potrafiła.

– Ja ciebie też... Tak, ja ciebie też – Vincent usłyszał swój własny głos.

Anna Skwierzyńska

Tylko ciebie mam

*Na pewno znasz te poranki, gdy
Wszystko, co widzisz, obietnicą cudu jest,
Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć...
Poranki, gdy czujesz, że
Na obraz Boga stworzono cię,
Jeśli wiesz, co chcę powiedzieć...*

Kasia Nosowska

Osoby:

Nina

Czarny

Pan Tomasz – Klient

Pan Nikt

Pan Reżyserujący w tle

Wielki Brat – wielki nieobecny

Oboje młodzi, mieszkają w dużym mieście. Są zadbani, atrakcyjni, w związku ze sobą od kilku lat. Oboje trudnią się najstarszym zawodem świata, który przynosi im znaczne dochody i pozwala na dość luksusowe życie. Jednak mimo pozornie idealnej równowagi i oddzielenia pracy od życia uczuciowego budowana przez lata iluzja jest krucha jak domek z kart. W końcu nadchodzi moment, kiedy...

Na scenie minimum dekoracji. Jedna kanapa, elegancka, w dobrym stylu, w kolorze czarnym, lub białym. Okazjonalnie stolik, krzesło. Wszyscy namiętnie palą papierosy.

SCENA 1

Oboje w strojach sportowych w odległości mniej więcej metra od siebie, ubrani w obcisłe legginsy i koszulki, ona ma na włosach opaskę, on co chwila zerka na zegarek. Biegają w miejscu. Nagle Czarny podnosi lekko rękę – macha do mężczyzny, który biegnie nieopodal. Widzowie nie widzą nieznanego.

CZARNY Nadawałabyś się.

NINA Weź, przestań.

CZARNY Tylko żartowałem.

NINA Taaa. Znajomy?

CZARNY A jak myślisz?!

NINA Nie wiem, pytam tylko. Nie musisz się od razu tak wkurzać.

CZARNY O tej porze biega wiele osób.

NINA Wyglądał na krawaciarza.

CZARNY Bo jest. Lubi też być ostro rżniętym.

Nina spogląda przez dłuższą chwilę na Czarnego.

CZARNY Do cholery, nie patrz w ten sposób.

Nina odwraca głowę.

CZARNY Nie sypiam z każdym, kto biega w tym parku.

NINA Ale z nim tak.

CZARNY To przeszłość. Miał awansować i dostać podwyżkę. Ale nie awansował. Teraz jeździ na Żurawią i wyrywa gówniarzy.

NINA Acha. A ty kiedyś... tam... chodziłeś?

CZARNY Gdzie?! Na Żurawią? *(wybucha krótkim, wymuszonym śmiechem)* Dziewczyno, nie zapominaj, że rozmawiasz z ekskluzywnym facetem do towarzystwa. Tam się nie zrobi kariery. To jak, biegniemy, czy dalej będziemy pierdolić o niczym?

NINA *(nie odpowiada, przystaje, pochyla się, opiera dłonie na kolanach, szybko oddycha)* Zróbmy przerwę.

CZARNY *(nie przestaje biec, spogląda na zegarek)* Teraz chcesz przerwy? Najpierw nawijasz, a teraz się dziwisz, że już nie możesz. Jeszcze pięć kilometrów, no dawaj maleńka.

Po chwili Czarny zwalania tempo.

NINA Nie dam rady, nie przejmuj się mną, spotkamy się w domu.

CZARNY Jak chcesz. Ale serio, nadawałabyś się do tego.
Zaczyna biec coraz szybciej. Nina pada na kolana, łapczywie łapie powietrze, krztusi się. Powoli wstaje.
NINA Nie dam Ci tej satysfakcji. *(Stoi, trzyma ręce na biodrach).*
Zaczekaj!
Gasną światła.

SCENA 2

Nina i Czarny siedzą na kanapie, palą papierosy.
NINA Jak to jest?
CZARNY Co „jak to jest”?
NINA Jak to jest robić to z facetem?
CZARNY Czemu wiedziałem, że spytasz właśnie o to. Mógłbym ciębie zapytać o to samo.
NINA Powiedz...
CZARNY Na początku trochę ciężko, ale można się przyzwyczaić. Na pewno lepiej jest być stroną aktywną niż pasywną.
NINA Co to znaczy strona aktywna?
CZARNY To wtedy jak ty komuś wsadzasz. A pasywna jak tobie wsadzają. *(Odchyła głowę do tyłu na oparcie kanapy, na chwilę zamyka oczy. Bierze głęboki wdech, po czym siada normalnie).*
CZARNY *(jakby do siebie)* Tak, zdecydowanie lepiej być stroną aktywną. *(Zaciąga się papierosem w kolorze czarnym i wypuszcza kłęby dymu, z zaciekawieniem ogląda papierosa).* Zdecydowanie tak. Tylko wiesz... czasem po prostu nie można wybrać.
NINA I co wtedy robisz?
CZARNY Nic. Zaciskam zęby.
NINA Czemu palisz czarne fajki?
CZARNY Z tego samego powodu co Ty.
NINA Czyli?
CZARNY Żeby mieć namiastkę czarnego penisa w swoich ustach. *(Śmieje się).*
NINA Spadaj. Wcale nie o to mi chodzi.
CZARNY Tak?! Każda o tym marzy. O wielkim czarnym kutasie. Każda bez wyjątku. I wielu facetów też.

NINA Skąd wiesz?

CZARNY A po co niby Twoim zdaniem robią czarne wibratory?

NINA Dla tych, którzy nie palą fajek.

Oboje wybuchają śmiechem i nie mogą uspokoić się przez dłuższą chwilę. Nagle poważnieją.

CZARNY Nie, w ciągu całej swojej kariery nie miałem czarnego.

NINA Przecież nic nie mówię.

CZARNY Nie musisz, i tak wiem o co chcesz zapytać. Jezu, czy każda nasza rozmowa musi się kończyć na dupie albo kutasie.

NINA Nie wiem. A o czym chciałbyś porozmawiać?

CZARNY O dupach i kutasach, o czym innym można.

SCENA 3

Czarny siedzi i pali papierosa.

CZARNY Nie, nie można się przyzwyczaić. Kurde, no nie można.

Nigdy. Przynajmniej ja nie mogę. Nie rozumiem w ogóle bycia pedałem, ciotą, homo. Wszystko to jedno i to samo. Jak można lubić, gdy ktoś wkłada wielkiego kutasa w twój tyłek. Nawet kiedy ten kutas nie jest wielki, to i tak kurewsko boli. Nie mógłbym być pedałem, za żadne pieniądze. Każdy kto mówi, że będąc hetero, można być bi, pieprzy jak potłuczony i na pewno ani razu w życiu nikt mu nie przeorał tyłka. Co innego rimming, nawet hetero to lubią, ja niekoniecznie. Kurwa, nie patrz tak na mnie, chociaż Ty... proszę.

SCENA 4

Nina siedzi na kanapie, Czarny nerwowo chodzi w tę i z powrotem.

CZARNY Fuck! Ja pierdołę!

NINA Co się stało?

CZARNY Nie mogę go stracić, kurwa, nie mogę!!!!

NINA O co chodzi do cholery? Przestań się kręcić i usiądź w końcu.

Czarny siada, chowa twarz w dłonie, po chwili mówi.

CZARNY Tomaszowi się dzisiaj zachciało, panu wspaniałemu tłustemu pseudopedziowi zachciało się, a ja nie mogę choćbym

stanął na ch..., to nie dam rady. Jak mu odmówię, to znajdzie sobie kogoś innego i mogę się pożegnać z kasą, za co będziemy wtedy żyć, a mieszkanie, samochód... nie damy sobie rady.

NINA (*cicho*) Ja pójdę.

CZARNY Co?!

NINA Powiedziałam, że ja pójdę zamiast Ciebie.

CZARNY Wykluczone.

Nina podchodzi do Czarnego, opiera głowę na jego ramieniu, przytula się do niego.

NINA Zrobię dla ciebie wszystko, więc to tym bardziej. Sam powiedziałeś, że nie możesz go stracić... Nie możemy go stracić.

CZARNY No, nie mogę....

Całuje Ninę we włosy.

Zapada ciemność.

SCENA 5

PAN TOMASZ Powiedz mi, że ma szczęście, że trafił w mój gust, inaczej byłbym bardzo niezadowolony. Nie rób takiej uśmiechniętej buzi, jeszcze się nie zdecydowałem, nie tak szybko Słoneczko. (*Zapala papierosa i głęboko się zaciąga*) No ale dość gadania – rozbieraj się, raz, raz, szybciej, nie mam całego dnia.

Nina posłusznie rozbiera się do bielizny.

PAN TOMASZ A teraz chodź tu i pokaż, czy jesteś równie dobra jak on...

Nina kłęka, Pan Tomasz rozpina spodnie.

Zapada ciemność.

SCENA 6

Czarny siedzi na kanapie i pali papierosa, przygląda się jak Nina stoi i wybiera sukienkę. Przygląda do siebie jakąś, patrzy czy do niej pasuje, przekrzywia głowę, uśmiecha się, za chwilę na jej twarzy pojawia się grymas niezadowolenia. Zniecierpliwiona rzuca kolejną sukienkę na kanapę i przymierza dalej. Widownia jest lustrem, w którym się przegląda.

CZARNY Nie ta. (*Gasi papierosa*).

Nina odwraca się do niego i przygląda mu się. Milczy. Czarny wstaje z kanapy i zbliża się do niedbale rzuconych sukienek, zaczyna przeglądać każdą po kolei, mrucząc do siebie.

CZARNY Ta nie, ta też nie... tak... ta będzie idealna.

W jego głosie słycać tryumf. Bierze do ręki sukienkę i podchodzi do Niny od tyłu. Ona cały czas stoi nieruchomo.

Czarny przykłada do jej ciała sukienkę.

CZARNY Idealna, po prostu idealna (*Szeptce Ninie do ucha*). Jeszcze tylko włosy, najlepiej upięte (*mówiąc te słowa wsuwa rękę we włosy Niny i unosi do góry, formując z nich kółko*).

CZARNY Albo nie, w rozpuszczonych będzie lepiej. No, a teraz przygotuj się, chcę Cię zobaczyć całą.

Nina bierze do ręki sukienkę i znika. Po chwili pojawia się, piękna, w butach na obcasie, mocno pomalowanych ustach, włosy rozpuszczone. Czarny patrzy na nią z podziwem i nie może ukryć swojego zachwyty.

CZARNY (rozmarzony) Jakaś ty piękna.

Nina milczy, przegląda się w lustrze jakby szukając potwierdzenia dla jego słów, dotyka swojej twarzy, jej dłonie powoli przesuwiają się coraz niżej, na dekolt, piersi, brzuch, biodra, uda. Nina w końcu uśmiecha się z tryumfem w oczach, jakby wreszcie dostrzegła, że jest piękna.

CZARNY A teraz zamknij oczy. Wyobraź sobie, że mnie całujesz.

Staje za Niną, obie dłonie kładzie na jej głowie, którą odchyła lekko do tyłu, wsuwa palce w jej włosy zaciskając je mocno na jej czaszce.

Po chwili Nina wyrzywa mu się.

NINA Nie!!! Nie mogę, przepraszam...

CZARNY Nie możesz choć raz zrobić czegoś dobrze, tak sama z siebie? Czy za dużo wymagam?! Ogarnij się w końcu kobieto, bo z takim nastawieniem do życia to daleko nie zajdziesz. Musisz to opanować, być ponad to. Przecież chcesz to zrobić, dla nas, prawda?!

NINA Tak, chcę.

CZARNY A jeśli się czegoś bardzo chce, to nie ma rzeczy niemożliwych...

NINA Nie ma...

CZARNY I razem sobie poradzimy, ze wszystkim...

NINA Poradzimy...

CZARNY Obiecuję, że będziesz miała wszystko. Tylko nie możesz mnie teraz zawieść... tylko ciebie mam... tylko Ciebie... (*Podchodzi do Niny, przytula ją mocno, całuje we włosy*).

SCENA 7

Nina czeka w bramie, chroni się przed deszczem, w rękę na wpół złożona parasolką, pali papierosa, marznie. Ma na sobie cienką, na wpół prześwitującą sukienkę, trzęsie się z zimna, przestępuje z nogi na nogę, niecierpliwi się.

NINA Gdzie on kurde jest! Cholerny mały książe z małym ptakiem.

Jak zwykle się spóźnia.

Dzwoni telefon. Nina pospiesznie otwiera torebkę, szuka telefonu, wypada jej z ręki papieros, jej komórka cały czas natarczywie dzwoni.

NINA Fuck! (*W końcu znajduje telefon na dnie torebki. Chrząka*) Bądź miła. Halo... Tak czekam... aha, rozumiem... u Ciebie, jasne, oczywiście. Będę za... dwadzieścia minut. (*Rozłącza się. Po chwili chowa telefon do torebki. Otwiera parasolkę*).

NINA Zajebicie, szykuje się mega-romantyczny wieczór. Przykro mi, że musiałaś czekać (*ironicznie naśladuje męski głos*), ale nie martw się, wynagrodzę Ci wszystko. Idiota. Cholerny idiota. (*Rzuca jeszcze kilką przekleństw, otwiera parasol i rusza na poszukiwanie tańsówki*).

SCENA 8

U niego. Pan Tomasz na kanapie. W rękę szklanka whisky, rozpięte kilką guzików koszuli. Poza zblazowana i znudzona. Wyciąga jedną rękę zachęcająco do Niny.

PAN TOMASZ No chodź suczko, stęskniłaś się za mną, co?!

NINA (*stoi plecami do niego*) Wiesz, że tak. (*Odpowiada z wymuszonym uśmiechem, po chwili odwraca się w jego stronę*).

Pan Tomasz poklepuje kanapę, tak jak robi się, gdy chcemy, żeby przyszedł do nas kot albo pies.

PAN TOMASZ No już się nie dąsaj laleczko, musiałaś trochę poczekać i co, korona z głowy chyba nie spadła?!

NINA Przezornie zostawiłam ją w domu.

PAN TOMASZ Mądra dziewczynka. No chodź, przywitaj się z wujkiem. (*Ponaglająco wyciąga rękę w jej stronę, drugą rozpina spodnie.*)

Nina podchodzi i kładzie mu głowę na kolanie.

SCENA 9

Nina i Czarny stoją w odległości mniej więcej metra od siebie, ubrani, ona w kostium kąpielowy, on w spodenki kąpielowe, na oczach mają okulary do opalania w solarium. Każde z nich jest oświetlone ostrym światłem, które ma dawać efekt jak lampy w solarium.

CZARNY Fuck, ale daję, chyba trafiliśmy nowe lampy.

NINA Czuję się jak boczek na patelni.

CZARNY (*pyta ze śmiechem*) Zboczek? (*z przekąsem*) Nie marudź, wytopisz trochę tłuszczu z bioder.

NINA Spadaj, to chyba tobie ostatnio przybyło trochę kilogramów.

CZARNY Ok, no nie gniewaj się już (*Ziewa i się przeciąga*).

NINA Ile jeszcze, nie dam rady, to jest gorzej niż w saunie. Zaraz mi się mózg ugotuje.

CZARNY Dziesięć minut.

NINA Ech..

CZARNY Pomyśl, że przynajmniej nie będziesz wyglądać jak córka młynarza.

NINA Taa, za to jak córka murzynka bambo, super.

CZARNY Mhm, lubię Cię taką przypieczoną, Czekoladko.

NINA Tylko lubisz?

CZARNY Tylko, żeby Ci się w głowie nie przewróciło.

NINA A jak będę mieć raka skóry, też mnie będziesz lubić?

CZARNY No wtedy zacznę się zastanawiać (*śmieje się*).

Oboje się śmieją. Po chwili zaczynają medytować. Przybierają pozycję joginów, rozkładają ręce, każde z nich podnosi prawą nogę, ugina w kolanie i opiera stopę na drugiej nodze tworząc trójkąt, łączą kciuki i palce wskazujące i wydają z siebie charakterystyczne „mmmmm”, czy coś w tym rodzaju.

Gaśnie światło.

SCENA 10

Nina leży na kanapie, obok niej laptop, widać, że się nudzi przeglądając strony internetowe. Czarny chodzi w tę i z powrotem, goli się maszynką elektryczną (ma na sobie tylko bokserki, podśpiewuje nieokreśloną melodię pod nosem).

Nina podekscytowana, dotychczas leżała, teraz podnosi się, siada po turecku na kanapie, kładzie laptop na nogach

NINA Zobacz co znalazłam.

CZARNY No dawaj.

NINA (*odchrząkuje*) No to zaczynam: jestem dojrzałym, wszechstronnie sprawnym, wykształconym, materialnie niezależnym mężczyzną...

CZARNY No, na początek całkiem nieźle.

NINA Poszukuję partnerki do stałego związku towarzyskiego. Na związek składa się: wzajemna sympatia, seks, stała pomoc materialna dla partnerki. Oferowana stała pomoc materialna dla partnerki powinna być docelowo w rozmiarze pozwalającym na dostatnie utrzymanie w Warszawie. Ponadto dofinansowanie zdobywania wykształcenia oraz okolicznościowe upominki, w dalszej kolejności trwałe inwestycje. Kurwa, inteligent, nie ma co.

CZARNY A nie szuka czasami fajnego faceta do towarzystwa?

NINA Rozczaruję Cię, on jest hetero.

CZARNY Na pewno?

NINA Czytam dalej: naturalna, nieudawana skłonność fizyczna do innych kobiet preferowana. Dające się pokonać opory przed seksem w grupie. Lubię robić erotyczne zdjęcia i wideo, oczywiście nie musi być na pierwszym spotkaniu i nie do publikacji. Aaa i jeszcze pisze, że ma żonę i dzieci.

CZARNY To nic nie znaczy.

NINA Słuchaj, to jest dobre: Skłonność do nadmiernego samodzielnego imprezowania i bogatego życia towarzyskiego jest źle widziana.

CZARNY Ma rację facet.

NINA (*przybiera protekcyjnalny ton*) To ja mam być Twoim partnerem w okresie związku. Lepiej będzie, jeśli w tym okresie skupisz się na swoim rozwoju, zdobyciu wykształcenia i innych umiejętności. Coś, za coś. Coś zyskujesz, coś tracisz.

CZARNY Do tego prawdziwy mecenas, nie chodzi mu tylko o pieprzenie, ale i o rozwój, takie podejście to rzadkość.

NINA Nie przerywaj. Ogłoszenie adresowane jest tylko i wyłącznie do kobiet pełnoletnich. Preferowany praktycznie przedział wieku: od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, w tym dolna granica wieku jest ścisła, a górna elastyczna (jednak nie nadmiernie), kobiety są przecież różne. Ja oczywiście nie odrzucam także kobiet trzydziestokilkuletnich, a nawet znam sporo kobiet w tym wieku, które fizycznie podobają mi się i mają dodatkowy walor dojrzałości psychicznej. Wiem jednak z doświadczenia, że w polskich warunkach większość kobiet po trzydziestce traci urodę, nabiera ciała i ma inne, życiowe ograniczenia. Jeśli jesteś po trzydziestce, ale zachowujesz świeżość urody, to możesz mi się spodobać. To nie będzie mój pierwszy związek takiego rodzaju. Wiem, czego oczekuję, dokładnie znam swoje gusta.

CZARNY Nie wątpię, że znasz.

NINA O! To jest ciekawe: oczekuję wyłączności od partnerki, ale sam jej nie daję. Lubię mieć równoległe więcej niż jeden taki związek. Wspólne wyjazdy będą często w składzie: ja i dwie kobiety, apartament w porządnym hotelu, jedno, duże łóżko dla trojga.

CZARNY Szczery, ale skurwysyn.

NINA To fakt. Tylko nie wzięł pod uwagę, że nie znajdzie za wiele panienek, którym będzie się chciało to wszystko czytać, kurde koleś ma talent, może to jakiś dziennikarz?

CZARNY Albo po prostu wie czego chce.

NINA Taaak, ja Ci powiem czego on chce – dupy do wynajęcia i to nie jednej. Słuchaj, zakończenie jest najlepsze: Podane w tym ogłoszeniu informacje należy rozumieć dosłownie. Nie ma tu drugiego dna, ukrytych myśli lub planów, fantastyki, czy obietnic bez pokrycia. Nie piszę o sobie wiele, ale wszystko co piszę, jest prawdą. Na pytania o uściślenia chętnie odpowiem, ale proszę pytać konkretnie (a nie ogólnikowo) i unikać pytań wynikających z

niedokładnej lektury ogłoszenia. Zainteresowane proszę o zgłoszenia z krótką charakterystyką (ale nie chodzi tylko o wymiary – interesuje mnie też osobowość, wykształcenie, doświadczenia życiowe, stan cywilny, zobowiązania) i z fotografiami (wyraźny widok twarzy i całej sylwetki, chętnie więcej niż jedna fotografia, w różnych ujęciach, fotki niepoprawiane Photoshopem). Tekst w rodzaju CV wzbogaconego fotografiami, to także dobry pomysł. Podkreślam, że nie chodzę na spotkania zapoznawcze bez wstępnego obejrzenia fotografii kandydatki. Ja nie wysyłam fotografii w zamian. Podsumuję teraz cechy idealnej kandydatki.

CZARNY Pan wspaniałomyślny.

NINA Im więcej cech kandydatki nie pasuje do ideału, tym trudniej nam będzie porozumieć się, chociaż mam świadomość, że być może pełny ideał nie istnieje. Idealna kandydatka: zgrabna i szczupła sylwetka; ładna, miła, subtelna i inteligentna buzia; umysł wyposażony w inteligencję; kulturalna; rzeczowe podejście do świata; spokojna, zrównoważona i niehisteryczna; współpracująca ze mną; zorganizowana; słowna; ciekawa świata; sprawna fizycznie; umiejętność lub chęć nauki nart zjazdowych i nurkowania; dyspozycyjna; bezdzietna; wolna; wiek osiemnaście – dwadzieścia pięć lat; bez „profesjonalnych” doświadczeń. Takiej idealnej, lub zbliżonej do ideału kobiecie jestem gotów dać wiele, otoczyć ją swoją opieką i ciepłem... Taa, ciepłem, wypływającym wprost z przebogatego, pulsującego wnętrza..

Czarny podchodzi do Niny, zamyka jej laptop.

CZARNY Zostaw to już. Chodź spać.

NINA Myślałam, że wychodzisz.

CZARNY Za chwilę...

SCENA 11

Opowiedz coś o sobie, jak masz na imię, ile masz lat, czym się zajmujesz...

NINA A więc *(siada na krześle, żuje gumę z otwartymi ustami, jest lekko zdenerwowana)* mam na imię Paulina, właściwie Nina – tak mówią

do mnie znajomi, mam dwadzieścia trzy lata, mieszkam tu, co jeszcze... hm, od kilku lat jestem w tym biznesie, bo przecież taki sam biznes jak każdy inny, no nie?! (*zapala papierosa*).
Przyjechałam tu z nie swoimi długami. Właściwie trafiłam tu przez przypadek, ale to był jeden z tych przypadków, które pojawiają się w życiu w odpowiednim czasie i po prostu trzeba je wykorzystać, prawda?! Z pracy jestem zadowolona, to znaczy nie zawsze, ale zawsze z zarobków. Wiesz, ile mam nowych kontaktów, a bywam w takich miejscach, o których bym nawet nie pomyślała, że istnieją. Oprócz tego standard, kino, teatr, opera. Jestem swoim własnym szefem, nie podlegam nikomu, to znaczy jeśli chodzi o pieniądze, w końcu tylko ode mnie zależy, czy zarobię i ile. Na razie mi to odpowiada. Myślę, że mam wszystko. Wszystko to, co zawsze chciałam mieć. I gdybym miała jeszcze raz wybierać, podjęłabym te same decyzje. Tak myślę... Nie no, takich świństw nie robię, weź, no trzeba być popierdolonym, żeby dać to sobie robić, no chyba że jest z tego naprawdę ekstra kasa.

Wstaje i wychodzi.

SCENA 12

NINA Podwieziesz mnie?

CZARNY Znowu?

NINA Proszę...

CZARNY Znów mam tłuc się w korkach przez godzinę, żeby Cię zawieźć na drugi koniec miasta, potem tłuc się do domu drugą godzinę i pewnie jeszcze mam po ciebie przyjechać?

NINA Nie musisz...

CZARNY Po całym dniu, ostatnią rzeczą na jaką mam ochotę jest samochód, czy tak trudno to zrozumieć?

NINA Nie, ale myślałam...

CZARNY Traktujesz mnie jak szofera.

NINA Zamówię taksówkę, ale gdybym miała samochód, nie musiałabym już nigdy Cię prosić, żebyś gdzieś mnie podwiózł.

CZARNY To może najpierw na niego zarób.

NINA Tak jak ty zarobiłeś na swój?

CZARNY A znasz lepszy sposób? (*Po chwili*) To o której musisz być u niego?

SCENA 13

Nina i Czarny wrócili z zakupów. Oboje niosą taką samą ogromną ilość papierowych toreb pełnych zakupów. Torby są takie, jakie zwykle dają w luksusowych sklepach. Rzucają się bezsilnie na kanapę. Są zmęczeni, ale uśmiechnięci.

NINA Było super.

CZARNY Nooo.

NINA Uwielbiam, kiedy jesteś taki władczy. Nic innego Cię nie obchodzi, idziesz tam gdzie chcesz, bierzesz co chcesz, bez pytania, a potem każesz mi to samo robić. Nie obchodzi Cię, że inni na nas patrzą. Wręcz przeciwnie, jeszcze bardziej Cię to nakręca. (*Wybuchu śmiechem*).

CZARNY Znasz mnie. Taki mam styl.

NINA To lepsze niż seks. (*Wzdycha*).

CZARNY I tym razem to my płacimy.

NINA I przynajmniej nie trzeba się potem od razu kąpać.

CZARNY Nooo.

NINA Jest super (*patrzy na niego*). A może byśmy...

CZARNY Wiesz, może...

NINA Masz rację.

CZARNY Lepiej...

NINA Tak, zgadzam się.

CZARNY To nie tak, że...

NINA Rozumiem. Nie było pytania.

CZARNY A może zamówimy coś do jedzenia?

NINA To dobry pomysł.

CZARNY A na co masz ochotę?

NINA Na pizzę. I na faceta od pizzy.

CZARNY Co?

NINA Gdy zadzwoni do drzwi, porwiemy go, to znaczy wciągniemy go siłą do naszego mieszkania. Zwiążemy, posadzimy na krześle i każemy mu patrzeć, jak jemy. A potem go zabijemy.

CZARNY Lepiej nie.

NINA No OK, wypuścimy go przez okno, ale nie damy napiwku albo damy mu bardzo duży napiwek.

CZARNY A jaką pizzę właściwie zamówimy?

NINA Pepperoni. Koniecznie.

SCENA 14

Oboje na kanapie. Czarny z laptopem na kolanach. Nina obok niego, znudzona ogląda telewizję, beznamyślnie naciska guziki na pilocie i co chwilę zmienia programy.

CZARNY Mogłabyś co chwila nie zmieniać kanałów?!

NINA (*żując gumę*) Nie-e-e (*odpowiada z uśmiechem i coraz szybciej przeskakuje z kanału na kanał*). Gdzie dziś byłeś.

CZARNY Kurwa, przestań wreszcie! Zwariować można od tego! W pracy, a gdzie miałem być?

NINA (*ķieruje pilot w jego stronę*): Nie słyszę nic. Właśnie wyłączyłam Ci głos.

Czarny bierze pilot z jej ręki i rzuca go z całej siły na podłogę. Nina w odwecie rozbija jego laptop.

NINA Teraz przynajmniej masz motywację do pracy. Musisz zarobić na nowego kompa.

Nina wychodzi.

SCENA 15

NINA:

Jestem

Często

Chciałabym

Żałuję

SCENA 16

Pan Tomasz podchodzi do Niny. Staje za nią. Zaczyna ją dotykać, całować, ona nie reaguje, jest całkowicie bierna. On wsuwa jej jedną rękę w majtki, drugą chwytając za włosy i odchyła jej głowę do tyłu. Czarny stoi obok, cały czas się przygląda.

PAN TOMASZ Wiesz stęskniłem się za Tobą, suczko...

NINA Wiem.

PAN TOMASZ A skąd wiesz?

NINA Bo mi to mówisz.

PAN TOMASZ No już, rozluźnij nogi, jesteś spięta jak jakaś
czternastoletnia dziewczyna.

Szarpie ją. W końcu zniecierpliwiony pomaga sobie kolanem, które wpycha między nogi Niny.

Pan Tomasz rozpina spodnie i po chwili wchodzi w nią. Ona cały czas pozostaje bierna, co jednak w ogóle nie przeszkadza Panu Tomaszowi.

Zapada mrok.

Czarny znikną.

Słychać jak Pan Tomasz dochodzi.

SCENA 17

Nina i Wielki Brat.

Na scenie krzesło i stół. Podchodzi Nina, siada na krześle, nerwowo zagryza wargi. Macha nogami jak dziecko, jest wyraźnie zdenerwowana.

NINA Chyba nie pogniewasz się, jeśli zapalę. *(Wyjmuje z kieszeni elegancką papierośnicę w kolorze złota i zapala papierosa).*

NINA *(nieśmiało, z wahaniem w głosie)* Mam ostatnio problem, wiesz... Potrzebuję czegoś na rozluźnienie mięśni... tych mięśni... no przecież wiesz...

podnosi rękę do ust i chrząka nerwowo. Podobno homo to używają.

NINA Więc to jest to?! Hm, niepozorne... *(Podchodzi do stołu i bierze do ręki małe pudełeczko).*

NINA Co się z tym robi? Wącha? To chyba nie jakieś narkotyki? Uff, to dobrze, nie lubię brać żadnych świństw. Dzięki, zmykam *(wychodzi z pudełeczkiem w ręce, mówi do siebie, cały czas oglądając*

je z zaciekwawieniem). Czego to ludzie nie wymyślą, heh, dobre dobre, ciekawe tylko czy skuteczne.

SCENA 18

NINA OK. Więc to byłoby coś takiego: ty gnoju, to wszystko dla ciebie, dla ciebie i przez ciebie, nienawidzę tego, nienawidzę ciebie! Przyjechałam tu z nie swoimi długami. A teraz mam dług wobec ciebie za to, że mi pomogłeś i to jest jedyny mój sposób, żeby go spłacić. Prawda?! Może być? (*Siada, zapala papierosa*).

SCENA 19

Nina leży na kanapie, nieprzytomna, krew na nadgarstkach. Przychodzi Czarny. Chce sprawdzić jej tętno, ale nie wie gdzie lepiej, czy na zakrwawionych nadgarstkach czy na tętnicy szyjnej.

NINA (*nagle wybucha śmiechem. Po chwili*) Szkoda, że siebie teraz nie widzisz, achaaa, normalnie zdążyłabym się przekręcić ze trzy razy, a wykrwawić, to bym się na pewno wykrwawiła, do ostatniej kropelki.

Czarny chwytą ją za ramiona i zaczyna szarpać.

CZARNY Ty głupia cipo! Zwariowałaś już do reszty?! Chcesz żebym dostał zawału, co!? Myślałem, że naprawdę coś sobie zrobiłaś!

NINA (*śmieje się w głos. Po chwili dodaje już spokojnie*) Przecież nie mam powodu, żeby sobie coś zrobić, prawda?!

CZARNY Dlaczego mi to robisz, co?! Przecież tylko ciebie mam... (*z rezygnacją i rozpaczą chowa głowę w swoje dłonie*).

NINA Chciałam zobaczyć, jak zareagujesz.

CZARNY Super, brawo za inwencję twórczą, jesteś popierdolona wiesz.

NINA A ty nie znasz się na żartach, sztywniaku. I na udzielaniu pierwszej pomocy też nie. Nienawidzę Cię. (*Pokazuje mu język jak dziecko. W chwilę potem zsuwa się z kanapy na podłogę, kłęka i wymiotuje*).

SCENA 20

NINA (chodzi w kółko i mówi do siebie, w właściwie nuci jak piosenkę):

Kto cię jebał, gdy mnie nie było
Gdybyś była sama, odebrałabyś telefon
Chcę wiedzieć, kto cię jebał
Kręci mnie to
O tak i to bardzo
Wiem, że ktoś był
Nie ważne kto
Chce wiedzieć, jak rznął cię
Tak bardzo chcę
Rznąć cię...

SCENA 21

Na stole leży biała koperta. Nina zapina bluzkę, podchodzi do stołu, otwiera kopertę. Zaczyna stukać obcasami, stojąc tak w miejscu.

NINA Za mało.

PAN TOMASZ *(wzdycha i wyciąga z portfela kilka banknotów)*

Zapomniałem, no tak kryzys...

NINA Umówiliśmy się przecież.

PAN TOMASZ Wiem, wiem.

NINA Nie marudź. Jesteś chyba ostatnią osobą, którą ma powód do narzekania.

Podchodzi do niego, opiera głowę na jego ramieniu i wyciąga rękę po pieniądze

PAN TOMASZ Zostaniesz na noc?

NINA Nie.

Pan Tomasz wychodzi. Ona siada na kanapie, znużona, zapala papierosa, ziewa. Po chwili zasypia.

SCENA 22

Wchodzi Pan Tomasz, ma na sobie garnitur, zdejmuje krawat, siada na kanapie.

PAN TOMASZ Miałem dziś ciężki dzień (*wzdycha*).

Czarny podchodzi do niego, rozpina mu spodnie. Pan Tomasz odchyła głowę, zamyka oczy, jedną ręką chwytając Czarnego za włosy, przyciąga do swojego krocza.

PAN TOMASZ: Tak to był naprawdę ciężki dzień...

Gaśnie światło.

SCENA 23

Czarny i Nina siedzą na kanapie, oglądają telewizję (na ich twarzach odbija się niebieskie światło z ekranu), ona kładzie głowę na jego ramieniu, on pali papierosa. Czarny całuje Ninę w czoło, nie odrywa od niej ust. Pan Tomasz stoi obok przygląda się cały czas, paląc papierosa. Po chwili znacząco chrząka, rzuca niedopałek i podchodzi do nich. Czarny i Nina rozsuwają się robiąc miejsce na kanapie Panu Tomaszowi, który siada pomiędzy nimi. We trójkę oglądają telewizję. Nina i Czarny równocześnie zaczynają całować dłonie Pana Tomasza. Wsuwają sobie jego palce do ust, ssą je, liżą. Nina rozpina spodnie Panu Tomaszowi.

Gaśnie światło.

SCENA 24

Oboje na kanapie. Nina leży, Czarny siedzi obok niej, ręka wsunięta w jej spodnie. Ona pali papierosa.

NINA Zostaw, nie mam ochoty.

Czarny coraz bardziej podniecony nie przestaje jej dotykać.

CZARNY Już mnie nie pragniesz?

NINA To nie tak.

CZARNY A jak do cholery? Wyjaśnij mi? Mam Ci zapłacić, żebyś się ze mną przespala?

NINA (*coraz bardziej zirytowana*) Daj spokój, jestem zmęczona.

CZARNY Powiedz jak to jest, że skoro tylko zadzwoni telefon, jesteś gotowa i chętna, to czemu ze mną nie chcesz, co?! Może mam najpierw zadzwonić i się umówić, tak chcesz? Czy żeby mieć Cię na jedną noc, mam Ci zapłacić?

NINA (*jedną ręką chwyta Czarnego za podbródek, patrzy mu w oczy*)
Chcesz wiedzieć co mi dziś zrobił, jak mocno, jak głęboko, chcesz?! Powiem Ci. A więc zerznął mnie jak stuprocentową dziwkę, przerznął mnie na wylot i to nie raz, ledwo chodzę, rozumiesz?! (*coraz mocniej zaciska dłoń na brodzie Czarnego, którego twarz robi się purpurowa*). Zrozum więc do jasnej cholery, że ostatnią rzeczą na jaką mam dziś ochotę to pieprzyć się z Tobą mimo, że jak wiesz, kocham Cię... bezgranicznie.

Czarny wyjmuje rękę z jej spodni i się masturbuje. Nina spogląda na niego przez chwilę.

NINA: Dupek, skończony dupek (*Zrywa się gwałtownie z kanapy, wychodzi*).

SCENA 25

Pan Tomasz i Nina razem na kanapie. On w pozycji swobodnej, ona siedzi obok i pali papierosa.

PAN TOMASZ Wiesz, że staram się być dla ciebie dobry (*chwyta Ninę mocno za włosy, zbliża swoją twarz do jej twarzy, siłą kładzie jej głowę na swoich kolanach i głaszcze po włosach*), ale czasem po prostu mi nie wychodzi, sama wiesz jak jest, mam ostatnio ciężkie dni. Chociaż, co ty możesz o tym wiedzieć. Twoja śliczna główka nie jest od tego. Czasem ci nawet tego zazdrozczę.

NINA Czasem lepiej jest nie wiedzieć.

PAN TOMASZ Zawsze chciałem mieć córkę, wiesz.

NINA Dlaczego mi to mówisz?

PAN TOMASZ Nie wiem.

Zaczyna mocno i gwałtownie całować Ninę.

SCENA 26

CZARNY Muszę wyjechać na kilka dni, może nawet na dłużej.

NINA Jak to, przecież...

CZARNY Pamiętam, że masz urodziny, ale...

NINA Ale wolisz zarobić trochę kasy, no nie?!

CZARNY A może chcę zarobić kasę na jakiś fajny prezent dla Ciebie,
może na Twoją wymarzoną wycieczkę do Paryża?

NINA Pieprzę Paryż!

CZARNY Nieprawda, od kiedy Cię znam zawsze mówiłaś jak bardzo
chcesz tam pojechać.

NINA To było kiedyś, teraz jest inaczej, wszystko jest inaczej.

CZARNY Kotku, pogadamy jak wrócę, no nie złość się.

Przymila się do Niny, przysuwa twarz do jej policzka, całuje ją czule.

Nina milczy.

CZARNY Idź na jakieś fajne zakupy, weź ze sobą Magdę.

Gładzi Ninę po głowie, całuje jej włosy.

NINA Mam kurwa dość, rozumiesz! Dość takiego życia. Nienawidzę
tego wszystkiego, Boże nienawidzę tak mocno jak...

CZARNY Masz wszystko, przecież tego chciałaś prawda?! Najlepsze
ciuchy, kosmetyki, meble, telewizor, wszystko. Tego właśnie
chciałaś.... Rozluźnij się, idź na masaż, albo zrób cokolwiek
innego, pogadamy później.

Nina milczy.

CZARNY Przecież zawsze chciałaś tak żyć, mieć wszystko, pozwolić
sobie na wszystko, kupić wszystko, nie martwić się.

NINA Kiedyś „wszystko” zamykało się w obrębie Twoich ramion.

Spełniłeś moje marzenia nawet nie pytając mnie o zdanie, zabrałeś
mi tę najważniejszą część, bez której wiem, że nie jestem w stanie
żyć.

CZARNY Wiesz co, pierdol się.

Wstaje i wychodzi.

NINA Ja ciebie też.

Zapala papierosa.

Po chwili Nina wyciąga z kieszeni komórkę, Wybiera numer.

NINA No cześć kochana, co tam u Ciebie, wiesz co, pożądam obłądnie jednej kiecki w kolorze szampana w Żółtych, myślę o niej od tygodnia i wiesz, to chyba miłość (*śmieje się*). To jak, masz ochotę mi potowarzyszyć w rozpuście? No to super, to do zobaczenia, no buziak paaaa.

Odkłada telefon, wstaje, po chwili znowu siada, po chwili orientuje się, że zostawiła papierosa na oparciu kanapy.

NINA O nieee, to był mój ostatni papieros.

SCENA 27

NINA Nie miałam jak, przysięgam. (*Zasłania twarz rękami*).

PAN TOMASZ Zamknij się! (*Z otwartej dłoni uderza Ninę w twarz, dziewczyna upada na kanapę. Podchodzi do niej, chwytając ją za ramiona i szarpie z całej siły*). Gównu mnie obchodzi czego nie możesz!!!! Rozumiesz, nie za to Ci kurwa płacę. Czy tak trudno jest zrobić coś o co proszę? Trudno? Co? (*Wrzeszczy na całe gardło*).

Pan Tomasz podchodzi do stolika. Nalewa sobie whiskey i od razu wypija, do tej samej szklanki nalewa ponownie alkohol, idzie do Niny, która kuli się w rogu kanapy.

NINA Proszę nie, obiecuję, już będzie dobrze, wszystko będzie dobrze, tylko nie... nie chcę (*zasłania twarz rękami w obawie przed następnym ciosem*).

Pan Tomasz kolanem rozpycha ściśnięte nogi Niny, która cały czas się wrywa, klęka na kanapie, pomiędzy jej udami, jedną ręką siłą otwiera jej usta i wsuwa w nie dwa palce, drugą wlewa whiskey, płynu jest tak dużo, że Nina nie może go przełknąć, wypływa z jej ust, Pan Tomasz siłą zaciska jej wargi. Nina w końcu przełyka. Wtedy on puszcza ją, dziewczyna gwałtownie opada na kanapę, ręką wyciera usta i zażawione oczy, rozmazuje sobie tym samym makijaż.

PAN TOMASZ Widzisz do czego mnie znowu doprowadziłaś! Więc następnym razem jak mówię, że masz coś wypić zanim przyjadę, to zrób to do kurwy nędzy!!! To nie moja wina, że ostatnio jesteś

do zniesienia tylko po kilku głębszych. No, koniec tego dobrego, ogarnij się, za kwadrans wychodzimy.

Już ma wyjść, kiedy nagle odwraca się, podchodzi do Niny, chwyta ją mocno za podbródek.

PAN TOMASZ I więcej mi kurwa nie mów, że nie da rady. Jasne?!

Zapada ciemność.

SCENA 28

Nina leży na kanapie. Wzdycha.

CZARNY Ciężki dzień, co?!

NINA Yhm.

CZARNY (*podchodzi i kładzie jej rękę na głowę*) Co cię nie zabije, to wzmocni, prawda?! (*mówiąc to, chwyta ją delikatnie za podbródek i patrzy głęboko w oczy*).

NINA Wiem, ale czasami po prostu nie mam siły.

CZARNY Tyle razy o tym rozmawialiśmy, wiesz po co, to robimy.

NINA Wiem, bo...

CZARNY Pamiętasz jak mówiłaś: nie wyobrażam sobie pracy w biurze po dziesięć godzin za jakieś marne grosze? W końcu nie po to tu przyjechałaś, żeby być byle asystentką.

NINA I w ramach codziennych obowiązków dawać swojemu szefowi. Wiem...

Czarny całuje ją w czoło.

CZARNY Grzeczna dziewczynka, no a teraz powiedz jak wyglądam?

NINA (*z uśmiechem*) Jak pierwszorzędne ciacho.

CZARNY To chciałem usłyszeć. Nie czekaj na mnie. Kocham Cię.

NINA Wiem.

SCENA 29

Nina stoi naga pod prysznicem, z prysznicą spływają na nią gorące strumienie wody, po chwili zaczyna zapalczywie trzeć swoją skórę gąbką, najpierw twarz, potem szyję, dekolci, piersi, brzuch i uda. Robi to tak długo dopóki nie zobaczy, że jej skóra robi się czerwona. Efekt jednak jej nie

zadowala, dlatego siega po ryżową szczotkę i znowu zaczyna szorować swoje ciało, zaczynając tym razem od dekoltu, na którym po chwili pojawiają się kropelki krwi. Wchodzi Czarny, patrzy na Ninę i gdy tylko orientuje się, co dziewczyna robi, gwałtownie jedną ręką chwyta ją za ramię i wyciąga spod prysznica, drugą zakręca kurek z wodą. Otula Ninę ręcznikiem.

CZARNY Dlaczego to zrobiłaś?

NINA Chciałam być czysta dla Ciebie.

CZARNY Przecież jesteś głuptasie, kąpałaś się chyba z godzinę.

Pieszczotliwie głaszcze Ninę po głowie.

NINA (*zrywa się na nogi*) Nie skończyłam jeszcze, jeszcze muszę...

Czarny siłą przytrzymuje ją na kanapie.

CZARNY Skończyłaś. A teraz trzeba to jakoś zdezynfekować, zanim wda się zakażenie.

NINA Nie trzeba.

CZARNY Trzeba. Zrobię Ci drinka.

NINA On mnie...

CZARNY Wiem.

NINA Nie, nie wiesz, nic kurwa nie wiesz, bo Cię to gównu obchodzi!

Czarny podchodzi do Niny i chwyta ją za ramiona.

CZARNY (*podrywa się z kanapy*) Myślisz, że kurwa nie wiem?!

Widziałem wszystko. Wszystko rozumiesz! Kazał mi patrzeć...

NINA Co?! Jak... mogłeś... ty

CZARNY Powiedział, że zapłaci podwójnie.

NINA Skrzywdził mnie, a ty mu na to pozwoliłeś.

Wstaje z kanapy.

CZARNY Ty mu pierwsza na to pozwoliłaś, wiedziałaś, co Ci robi.

NINA Ale nie wiedziałam, że też tam będziesz, że będziesz patrzeć.

Jezu, jesteś tak samo popaprany jak on. Pieprzony zboczeniec.

(*podchodzi do Czarnego*). Dobrze Ci było, co?! Zwaliłeś sobie?! No powiedz, śmiało.

Zaczyna uderzać pięściami w Czarnego.

CZARNY Przestań.

Próbuje powstrzymać Ninę, chwyta ją za nadgarstki.

NINA Nie przestanę, rozumiesz nie przestanę. Jezu... jak mogłeś... ty pierdolony hipokryto!!!

SCENA 30

NINA Czasem mam wrażenie, że robię to od zawsze, tak jakby nie było nic przed i potem pewnie też nic nie będzie.

Powoli zaczyna się rozbierać, Pan Reżyser zapala papierosa.

NINA Nie, nie mam wyrzutów sumienia. A przynajmniej nie mówię o nich głośno... O przyjemność nikt mnie nie pyta. To znaczy przyjemność zawsze ma on.

Nina zdejmuje spodnie.

NINA O moje zdanie i uczucia nikt nie dba.

Rozpina bluzkę.

SCENA 31

Nina naga pod prysznicem. Stoi nieruchomo. Woda splywa po jej ciele.

Rozlega się pukanie do drzwi łazienki, słychać męski głos:

PAN TOMASZ Jesteś gotowa?

Nina wyciera usta ręką, odsuwa mokre kosmyki włosów z twarzy:

NINA Zaraz wyjdę.

PAN TOMASZ Pospiesz się, już mi stoi.

Po chwili Nina wybucha płaczem, jej ciałem wstrząsa dreszcz. Zsuwa się na kolana. Krztusi się. Wymiotuje.

SCENA 32

CZARNY Chcesz zaczniemy wszystko od nowa, kupimy to mieszkanie, albo jakieś inne, albo wyjedziemy stąd, gdzieś daleko i wybudujemy dom.

NINA Dom... taki tylko nasz ...i co dalej? *(patrzy wyzywająco na Czarnego).*

CZARNY *(z coraz większym entuzjazmem)* Jak to co?! Nowe życie razem...

NINA Nowa praca... tak. Muszę wyjść. Czeka na mnie.

Wychodzi.

CZARNY *(siedzi na krześle i pali papierosa)* Dom... sporo spermy z siebie zmyję, zanim wybuduję dla nas ten dom, ale... *(wzdycha).*

Wstaje i wychodzi.

SCENA 33

PAN TOMASZ Jesteś pewien, że chcesz to zrobić?

CZARNY Tak.

PAN TOMASZ Nie chcę żadnych bzdur typu rozmyślałem się w trakcie i tak dalej.

CZARNY Powiedziałem przecież, że to zrobię.

PAN TOMASZ Tylko pamiętaj, nie możesz się teraz wycofać, ani teraz ani później.

CZARNY Nie wycofam się.

PAN TOMASZ Przynies sprząt, w sypialni obok łóżka jest torba.

Czarny wychodzi, po chwili wraca z czarną, skórzaną torbą.

PAN TOMASZ Postaw tu. A teraz się rozbierz.

Czarny ma na sobie jeszcze tylko czarne bokserki.

PAN TOMASZ Stój, teraz wyjmij sprząt i kładź wszystko na stole.

Czarny odpiną skórzaną torbę i zaczyna z niej wyjmować kajdanki (ale takie bez kolorowego puszku), czarne skórzane rękawiczki, śrubokręt, nóż myśliwski, różnej wielkości pudełka, duże opakowanie lubrykantu itp. Słychać dzwonek do drzwi.

PAN TOMASZ Rozbierz się do końca i nalej mi drinka. Dziś jest szczególny wieczór, więc zaprosiłem kogoś naprawdę wyjątkowego.

Czarny stoi nago. Słychać kroki, w półmroku pojawia się mężczyzna – PAN NIKT, wysoki i dobrze zbudowany, ubrany jest w czarny garnitur, na rękach ma czarne skórzane rękawiczki. Gaśnie światło.

CZARNY Nie!

Już po wszystkim Pan Tomasz siedzi na kanapie, ma na sobie tylko spodnie, pali papierosa, jest znudzony, zblazowany. Czarny leży nagi na podłodze.

PAN TOMASZ Nie powinieneś już iść?

Czarny wstaje i zaczyna się ubierać. Podchodzi do stołu, na którym leży puste opakowanie po prezerwatywach, a obok biała koperta, zagląda do środka, liczy banknoty.

CZARNY Idę.

PAN TOMASZ Pocałuj mnie. Tyle chyba jeszcze może zrobić.

Czarny podchodzi do niego, prawą ręką mocno chwyta go za brodę, unosi jego głowę, patrzy mu w oczy. Całuje go mocno, Pan Tomasz patrzy cały czas w oczy Czarnego, ale nie oddaje mu pocałunku.

PAN TOMASZ Było warto, prawda?!

CZARNEGO Jak zawsze.

Gdy Czarny odchodzi, Pan Tomasz patrzy za nim tęsknym wzrokiem.

SCENA 34

Nina siedzi na kanapie, ogląda telewizję, je popcorn. Przychodzi Czarny i podaje jej małe pudełeczko.

NINA Co to jest? Jeśli to jakaś biżuteria, to on nie lubi kiedy zakładam coś, co nie jest od niego.

CZARNY Otwórz.

Nina powoli otwiera pudełeczko, a w jej oczach pojawia się błysk zaskoczenia i radości, by po chwili zgasnąć. Dziewczyna wyjmuje kluczyki do samochodu.

NINA To jest ten prezent?

CZARNY Rozumiem, że spodziewałaś się czegoś innego, ale wybacz nie mogę go zwrócić.

NINA Kupiłeś mi samochód...

CZARNY Nie chwałę się, tak, kupiłem. Trzeba będzie go jeszcze pospłacać przez kilka miesięcy, ale damy radę.

NINA *(zrywa się z kanapy i rzuca Czarnemu na szyję)* Dziękuję, tak bardzo bardzo.

CZARNY Cała przyjemność po mojej stronie. Ale dość tego gadania, może zabierzesz mnie na małą przejażdżkę? Chyba zasłużyłem, prawda?!

NINA No pewnie, chodź.

Oboje wychodzą, trzymając się za ręce.

SCENA 35

Czarny i Nina wchodzi, powoli siadają na kanapę, każde w innym rogu, nie odzywają się do siebie przez dłuższą chwilę, nie patrzą na siebie.

NINA Ile za niego dałeś?

CZARNY Przestań, przecież to prezent, nie mogę Ci powiedzieć.

NINA Więc ile?

CZARNY Przestań! Jakie to ma znaczenie?

NINA Za ile mnie kupiłeś, powiedz. Co musiałeś zrobić, żeby za niego zapłacić? Ile razy dałeś dupy, no śmiało pochwal się. Boże jaki ty jesteś naiwny, myślisz, że wszystko możesz kupić, ot tak, pstrykniesz palcami i już jest. Ale wiesz, podziwiam Cię, naprawdę, dbasz o mnie jak najlepszy alfons. Po co dziwka ma wydawać pieniądze na taksówki, taniej wyjdzie jak kupi się jej samochód. Wtedy będzie mogła już zawsze być na czas i sama dojechać do klienta na drugi koniec miasta. Przykro mi, że niepotrzebnie musiałeś... to wszystko zrobić *(kładzie kluczyki na oparciu kanapy)*.

Wychodzi.

CZARNY *(bierze kluczyki do ręki)* Tak, trzeba było zostać w domu...

SCENA 36

CZARNY Niektórzy to lubią, w sensie lubią pieprzenie tak bardzo, że chcą mieć z tego coś więcej, łączą przyjemne z pożytecznym. Ja tak nigdy nie potrafiłem.

Wchodzi Nina, siada obok na kanapie, zaczynają mówić razem.

NINA i CZARNY Dla mnie zawsze to była praca. Pełen profesjonalizm. A praca... czy koniecznie musi być przyjemna, skoro ważniejsze, że przynosi dochody, że daje spokój, że znowu nie zablokują mi telefonu, bo zalegam za trzy miesiące z opłatami.

CZARNY Że w końcu mogę sobie kupić wymarzonego Maca
Nina gładzi go po głowie na znak, że rozumie, że Czarny właśnie, nic jej nie mówiąc, kupił sobie najnowsze Maca.

NINA Że w końcu mogę iść do porządnego fryzjera.

CZARNY Mieć dobry samochód.

NINA Mieć oszczędności na dobry samochód.
CZARNY Kupić Ci wszystko co chcesz.
NINA Kupić sobie wszystko, co chcę.
CZARNY Kupić sobie wszystko, czego nie potrzebuję.
NINA Nie czekać na wyprzedaże.
CZARNY Nie czekać na promocje.
NINA Uwielbiać torebki Armaniego (*przytula się do Czarnego*).
CZARNY Uwielbiać koszulę Tommiego Hilfigera.
NINA Perfumy Chanel.
CZARNY Zegarki Tissota.
NINA Zegarki Tissota.
Uśmiechają się i patrzą na siebie porozumiewawczo.
NINA zakupy spożywcze duże raz w tygodniu.
CZARNY zakupy spożywcze mniejsze trzy razy w tygodniu.
NINA Sushi z dostawą do domu raz w tygodniu.
CZARNY Siłownia raz w tygodniu.
NINA Solarium dwa razy w tygodniu.
CZARNY Wizyty u dentysty raz w miesiącu.
NINA Ginekolog raz na dwa miesiące.
CZARNY Paczka papierosów na dwa dni (*nieco skruszonym tonem*).
NINA Paczka papierosów na jeden dzień (*nieśmiało*).
CZARNY Debet w koncie.
NINA Debet w koncie?
CZARNY Bokserki Calvina Kleina.
NINA Staniki La Perli.
CZARNY Żeby mógł je zdejmować.
NINA Żeby mógł je rozpinać.
CZARNY i NINA Żeby była pralnia dwa razy w tygodniu.
NINA Żeby kupować nowy lawendowy komplet, gdy podrze tamten
CZARNY Żeby kupować nowe i wyrzucić do kosza, żeby znowu
kupić nowe.
NINA Żeby patrzeć, czy tym razem nie zrobił mi skurczybyk śladów.
CZARNY Żeby zrobić mu ślady tak, jak sobie tego życzy.
NINA Żeby udawać, że już śpię, kiedy przychodzisz do łóżka.
CZARNY Żeby wiedzieć, że udajesz, że już śpisz, kiedy przychodzę
do łóżka i udawać, że nie wiem.

NINA Żeby chcieć się z Tobą kochać.

CZARNY Żeby nie móc się z Tobą kochać.

CZARNY I nie mieć nigdy orgazmu.

NINA I mieć czasem orgazm chociaż wcale tego nie chcę.

CZARNY Żeby dupczyć się za pieniądze, dla Ciebie, moja dupa jak kasa z wielkiego supermarketu, żeby nie móc Cię dotknąć i jednocześnie nie wyobrażać sobie tego jak on Cię dotykał, żeby nie chcieć Cię całować, bo całowałaś wcześniej jego, bo ja całowałem wcześniej jego i jeszcze nie umyłem zębów, ani nie zjadłem miętówki, ani nie popiłem winem, a przecież zrobiłem mu laskę, żeby zrobić dla ciebie wszystko, wszystko co mogę, żebyś tylko ze mną była, zbudować Ci dom, kupić mieszkanie, wynająć architekta, zapłacić architektowi, przetrząść architekta, urządzić ten dom, albo to mieszkanie, kupić Ci psa, z którym mogłabyś wychodzić na spacer, pić dużo maślanki, nie musieć chodzić już z Tobą na spacer, bo przecież masz psa, kupować, mieć, wyrzucać, zgniatać, rozrywać, chować, szukać, zastępować, chwalić się przed znajomymi, skąd to masz, a dobrze ci się powodzi w pracy, tak dobrze, zajebicie, zapytajcie moją dupę, to wam powie jak dobrze się powodzi, a jak dobrze się powodzi innym, bo mogą mi płacić, i nigdy nie powiedzą o sobie, że są pedałami, chociaż chcą, żeby im wkładać palce w tyłek i zastanawiać się, czy tym razem czegoś nie złapałem, i czy ty czegoś nie złapałaś, i lepiej nie chcieć wiedzieć, czy coś złapałem, i czy ty złapałaś, i czy można od tego wszystkiego zostać pedałem na zawsze, i chodzić do sklepu, i płacić spermą, wymieniać moją spermę na kolejną sukienkę dla Ciebie, bez której nie mogłaś żyć, i widzieć radość w Twoich oczach, i zastanawiać się ile mi tej spermy jeszcze zostało, czy ona się kiedyś skończy, co wieczór ubierać się we własną spermę, jeść własną spermę nożem i widelcem, podawać Ci rano w Twoim ulubionym kubku ciepłą spermę z dwiema łyżeczkami cukru tak jak lubisz, jechać spermą do pracy i wracać z pracy, tankować spermą spermę, zmywać z siebie spermę własną spermą. Obudzić się rano i nie musieć nigdzie jechać, do nikogo iść, nie rozmawiać z nikim, nie musieć pachnieć, uśmiechać się, układać włosów na żel, golić się pod pachami i golić sobie jąder, bo on tak lubi, znosić

jego nieogolone jądra w moich ustach i wyobrażać sobie, że to owoc kiwi, hamować odruch wymiotny za każdym razem i nie móc się przyzwyczaić, powodować wymioty, bo cały czas nie mogę się przyzwyczaić, (*dołącza się Nina, mówią razem*) udawać, że to lubię, udawać, że mi nie przeszkadza, że nie lubię, zaciskać zęby i ręce na jego szyi, bo wtedy dochodzi szybciej, chodzić na kurs angielskiego, żeby tam w końcu wyjechać, zastanawiać się, czy godzina w funtach, to to samo co w złotówkach, zostawić to wszystko, żeby następnego dnia stwierdzić, że do niczego innego się nie nadaję.

CZARNY Nadużywać alkoholu.

NINA Nadużywać leków uspokajających.

CZARNY Nie móc spać w nocy.

NINA Spać w dzień.

CZARNY Nienawidzić siebie.

NINA Nienawidzić Ciebie.

CZARNY Za to, że robisz to wszystko.

NINA Za to, że pokazałeś mi jak to wszystko robić.

CZARNY (*zaczyna nucić piosenkę Mieczysława Fogga*): Bo to się zwykle tak zaczyna...

NINA Sam nawet nie wiesz, jak i gdzie.

CZARNY i NINA O całym świecie zapominasz...

Patrzą na siebie, długo w milczeniu, zbliżają się do siebie, żeby się pocałować, gdy nagle słychać głośny dźwięk telefonu. Oboje w bezruchu. Telefon nadal natarczywie dzwoni.

NINA No odbierz (*rozgląda się w poszukiwaniu telefonu*).

CZARNY Może... dziś nie... Halo...

SCENA 37

Oboje leżą na kanapie, mają białe maseczki na twarzach, a na oczach plasterki ogórka.

CZARNY Jak tam, żyjesz po dzisiejszym wosku?

NINA Żyję, ale co to za życie. Kurczę, boli mnie cipka.

CZARNY Chciałaś brazylijską, to teraz nie narzekaj.

NINA No chciałam, ale nie będę mogła pracować przez parę dni. Na pewno nie z takimi zaczerwienieniami.

CZARNY Weźmiesz korektor albo fluid i po sprawie. Nic nie będzie widać.

NINA Dobry pomysł. Wiesz...

CZARNY Co?

NINA Zamiast wosku lepsza i w ogóle na dłużej byłaby depilacja laserem. To teraz modne.

CZARNY Hm...

NINA Moglibyśmy razem chodzić. I to mniej boli. Trzeba tylko zrobić sobie serię zabiegów, od czterech do sześciu. I potem powtarzać co jakiś czas. Niedaleko nas jest taka fajna klinika i tam robią te zabiegi, to znaczy tą całą depilację laserem. Może byśmy poszli. Już tam dzwoniłam i się dowiadywałam, ile co kosztuje. Bikini zależy czy płytkie czy głębokie, to jest od stowy, nogi – i tak – same łydki kosztują sto pięćdziesiąt, całe nogi dwieście, brzuch to raczej dla ciebie sto dwadzieścia, górna połowa pleców dziewięćdziesiąt dziewięć, chyba w promocji, plecy dolna połowa do pośladków też dziewięćdziesiąt dziewięć. I jeszcze można dłonie i stopy i...

CZARNY (*zdejmuje płatkę ogórka z oczu, patrzy z zaciękwaniem na Ninę*) Uczyłaś się tego na pamięć?

NINA (*zdejmuje płatkę ogórka z oczu, patrzy na Czarnego*) No nie.

CZARNY To dobrze. Czyli tysiąc?

NINA No tak plus minus, ale przecież jest nas dwoje, to razy dwa.

CZARNY No tak. Wyjeżdżam na weekend.

NINA Znowu? Ale mówiłeś...

CZARNY To mówisz, że ta klinika jest gdzieś blisko nas?

NINA Tak, nawet bardzo blisko.

SCENA 38

Półmrok. Na kanapie leży Pan Tomasz, ma zamknięte oczy, jest znudzony, zblazowany, ma rozpięte kilka guzików koszuli, widać jego nagi owłosiony tors. W jednej ręce papieros, w drugiej szklanka whiskey. Nina tyłem do Pana Tomasza, w ręce trzyma maskę kłauana, ma na sobie męski garnitur, jedna

ręka powoli rozpina kłkła guzików koszuli, w ustach papieros. Niedbale tańczy i rozbiera się, w tle gra muzyka.

NINA To na co masz dzisiaj ochotę...?

PAN TOMASZ Jesteś kurwą i nie wiesz, na co mam ochotę? Na chuj się tak ubrałaś? No chyba, że pod spodem nic nie masz...

NINA Dzisiaj ja będę Twoim klientem.

PAN TOMASZ Tak?!

NINA Tak, będziesz robił, co ci każe.

PAN TOMASZ To ciekawe, bo to ja tobie płacę.

NINA Myślałam, że lubisz przebieranki, lubisz jak cię posuwają w dupę, lubisz udawać, że jesteś kobietą.

PAN TOMASZ Odjechało ci? Brałaś co? Najlepiej zamknij się już i do roboty. Kurwa z inicjatywą, dobre sobie. *(Popija whiskey)*.

NINA To na co masz dzisiaj ochotę?

PAN TOMASZ Nie spotykamy się po raz pierwszy, także powinnaś już to wiedzieć.

Nina zaciąga się papierosem i rzuca go przed siebie. Podchodzi do Pana Tomasza, rozpina mu koszulę.

NINA Wiem, ale zawsze mogą się zmienić upodobania, prawda?!

PAN TOMASZ: Dla Twojej informacji - nic się nie zmieniło.

NINA To na co masz dzisiaj ochotę...?

PAN TOMASZ Nie pierdol tylko się rozbieraj. Jesteś kurwa profesjonalistką czy nie? Więc rób co mówię.

NINA *(z naciskiem)* Nie jestem kurwą.

PAN TOMASZ Jesteś, jesteś, ale jak wolisz, możesz dzisiaj być nawet Marią pieprzoną Antoniną.

NINA *(z naciskiem)* Nie jestem kurwą.

PAN TOMASZ *(gwałtownie wstaje, zaczyna wymachiwać rękami)*

Jesteś taką samą kurwą jak te, co stoją pod Marriottenem, z jedną tylko różnicą, że one nie udają, że są paniami do towarzystwa. No i zresztą ty bierzesz więcej kasy. Dzięki mnie masz drogie ciuchy i kosmetyki. Bez tego wszystkiego byłabyś nikim. A dzięki mnie jesteś kimś. Więc docień to kurwa trochę i okaż mi należyty szacunek. No dalej, rozbieraj się!

NINA *(z naciskiem)* Nie jestem kurwą.

PAN TOMASZ Dajmy już temu spokój, nie mam ochoty na takie dyskusje. Zrozum, każdy ma swoje miejsce i powinien to zaakceptować. Ja jestem tu, gdzie ty nigdy nie będziesz. Ty jesteś kurwą, która dobrze robi laskę i której płacę i najwyższy czas, żeby się z tym w końcu oswoić, zaakceptować taki stan rzeczy. Byłaś kurwą, jesteś kurwą i będziesz. Już zawsze.

NINA (*z jeszcze większym naciskiem*) Nie jestem kurwą.

Pan Tomasz traci cierpliwość, wstaje, podchodzi do Niny chwyta ją za włosy, siłą każe jej kłęknać.

Powtórz to jeszcze raz, a rozwalę ci tą skądinąd śliczną, ale niestety pustą główkę. Rozumiesz, kurwo?! Rozumiesz czy nie?!

Po chwili siada na kanapie.

PAN TOMASZ Możesz to nazywać tymczasową prostytutką, sponsoringiem czy pomocą finansową, ale to zawsze będzie to samo.

Cisza.

Nina wstaje, odwraca się do niego tyłem, zakłada maskę uśmiechniętego klauna.

NINA Pobawisz się ze mną?

Odwraca się do niego twarzą.

PAN TOMASZ Jezu, coś ty ze sobą zrobiła?

Nina wyciąga nóż.

Pan Tomasz przerażony wciska się w róg kanapy.

PAN TOMASZ Dziewczyno, odjechało Ci do reszty? Przestań, dam Ci pieniądze jeśli o to chodzi...

Nina nagle wbija mu nóż w brzuch, po czym wyciąga ostrze z rany, zbliża je do swojej twarzy, patrzy z ciekawością jak kapią kropelki krwi. Pan Tomasz jest tak zaskoczony, że nie potrafi wydobyć z siebie słowa. Dotyka brzucha, patrzy na swoje zakrwawione palce.

PAN TOMASZ Coś...ty... zrobiła...

Nina przechyla głowę jak dziecko i raz za razem dźga go nożem. Najpierw powoli, potem coraz bardziej zapalczywie.

Pan Tomasz jest cały we krwi, w końcu traci przytomność i umiera.

Nina siada obok na kanapie. Zsuwa maskę. Zapala papierosa.

NINA (*zaczyna spokojnie nucić piosenkę, naśladując dziecinnie głos*) Stary niedźwiedź mocno śpi, stary niedźwiedź mocno śpi (*po chwili*

*odwraca się do martwego Pana Tomasza i krzyczy mu prosto w twarz), my się go boimy na palcach chodzimy, jak się zbudzi to nas zje,
jak
się (coraz ciszej)
zbudzi
to
nas (szeptem)
zje...*

*OK, mamy to!
Pół godziny przerwy.*

NINA No w końcu. Padam z nóg (rozmasowuje sobie kark).

PAN TOMASZ: A ja z głodu. Czy jest tu jakiś catering, helo!?!)

CZARNY (z offu) Obawiam się, że tak.

Pan Tomasz nadal siedzi na kanapie, wyciąga chusteczkę z kieszeni i wyciera spoconą twarz. Obok Nina przeciąga się i ziewa, jedną ręką wycierają jednocześnie usta. Z tyłu kanapy podchodzi Czarny, przeskakuje przez oparcie i siada obok Niny. Zapala papierosa. Wszyscy troje gestykują, śmieją się i rozmawiają jak starzy przyjaciele. Jakby znali się od zawsze i bardzo lubili. Jakby nikogo nie było poza nimi.

Słuchać piosenkę zespołu The Zombies „Time of a season”.

Powoli gaśnie światło. Muzyka nadal gra.

2012

Iwona Świerkula

Czwarte narodziny

(fragment)

Wyflęgam. O tym, że słowa mają dwa końce

Lubię jak włosy kołyszą się w dziwnym tańcu, a potem nagle rosną. Rozwijają się do rozmiarów skrzydeł i za chwilę kurczą. Bez oddechów, bezgłośnie, bez jakichkolwiek kanciastych ruchów. Balet w ciszy. Niestety, wszystko ma swój koniec. Nie jestem syreną. Potrzebuję powietrza, aby żyć. Wtedy następuje wynurzenie. Ciepła woda kapie z jedwabnych wodorostów. Koniec kąpieli. Zielone kafelki na ścianie są zadymione. Łazienkę zasłania nylon. Naciągam na wilgotne ciało szlafrok i nadal płynę, bo powietrze jest wymieszane gęsto z wodą. Przechodzę przez drzwi i nagle wszystko staje się znowu zwyczajne.

Jestem w ciasnej kawalerce na dziewiątym piętrze dwunastopiętrowego budynku, ale za to z widokiem szerokim jak morze. Z małego balkoniku jak z bocianiego gniazda roztacza się bezkres. Między zielonymi falami płyną działkowe domki. Ciasny świat uderza w świat bez granic. A ja przypominam muchę na szybie, bo nie mogę odlecieć w bliskie, lecz nie moje przestrzenie.

W lustrze wycieram zaparowaną twarz. To twarz młodej kobiety. Nawet ładnej. O skórze bez zmarszczek, niczym tafla jeziora w bezchmurny poranek, z odpływającymi oczami, z czółnem wygiętych z niezadowolenia ust i z wystającą wyspą opalonego nosa.

Z zadumy wyrывa mnie dzwonek do drzwi. Na progu staje cholernie przystojny młody mężczyzna i jego wysokie, smukłe ciało połyka moje. Znikam w wielkich ramionach, dokładnie tak, jak przed chwilą znikalam pod taflą gorącej wody.

On już wie. Tak, to prawda. Spodziewam się dziecka. Gdzieś w moim ciele wylęga się nowy świat. On cieszy się, że stał się prawdziwym mężczyzną. Ma obok kobietę piękną jak ze snu i na dodatek jest ojcem małej istoty. Istoty wielkości truskawki. Świat nagle stał się piękny. Byłby jeszcze piękniejszy, gdyby to coś obok, ta ciasna kawalerka, urosła do

wielkości dużego apartamentu. Ale motyle z reguły nie są właścicielami łąk. Wolność nie jest majątna. Wolność niesie bardzo mały bagaż. Tylko taki, jaki sama może unieść. Ani jednej walizki więcej. Na razie to niemożliwe, aby cieszyć się z tego, co się ma.

Zasypiamy jak w matryoszce, we mnie śpi nasze dziecko, a ja śpię zamknięta w dużego mężczyznę, który jest ojcem mego dziecka. Nad nami ciasne mieszkanko, chrapie bulgocąca kanalizacja. Wieżowiec zaś układa się do snu w wielkim mieście, a miasto wtula się w wielki kraj. Kraj zaś zapada się w poduszce ogromnego świata. A świat? Świat też się gdzieś zapada.

Mycie okna

– muszę umyć dziś okno
aby zobaczyć –

po przetarciu szyby
świat podchodzi
nasycają się kolory
z cieni wychodzą kontury
i wtedy świat
zagląda do środka...
czerwienię się

– chyba teraz muszę
posprzątać pokój –

Plecy wiatru

są bezbarwne
nie mogę go poklepać
choć między łąkami
drogi ma udeptane
lecz gdy się odwraca
ma oczy zamknięte

Sugestie jesieni

coraz wolniej sączą się promienie
jesień wynosi ptaki i zieleń
świat jak wystygnięta zupa
ludzie wchodzą do domów
mijają na progach pająki
dzień znika w tiulach mroku
świat marszczy nos z zimna
a wiatr warczy jakby chciał ugryźć

Wanda Szczypiorska

Czytanie Prousta

Wakacje spędzaliśmy osobno. Nie mieliśmy pieniędzy i trzeba było jechać do kogoś, przesiedzieć gdzieś, przeżyć się do czasu nowego stypendium. W czerwcu robiłam z Andrzejem i Grzegorzem kukiełki do prywatnego teatryku. Każde z nas trojga przygotowało projekt, ale uznali, że tylko mój nadaje się do realizacji. Przez cały czerwiec ja szyłam, a oni montowali. Dostaliśmy pieniądze. Niezbyt wiele.

Wkrótce potem Grzegorz napisał do mnie – do Jeleniej Góry, gdzie byłam u mojej siostry – że musi wyjechać z Andrzejem do Lublina, bo nie ma z czego żyć. „W Warszawie sprawa wygląda beznadziejnie”. „Bardzo ciężko, w ogóle nie mogę malować”. I tak dalej. „Zazdroszczę, że masz spokój i wolny umysł...”. To nie była prawda. Mnie także było bardzo ciężko.

Z Grzegorzem nie mieszkaliśmy nigdy razem, chociaż on miał coś w rodzaju mieszkania w drewniaku na peryferiach. Od roku byliśmy jednak nierozłączni, chociaż nie zawsze nocowałam u niego – często wracałam do domu, żeby coś zjeść i się przebrać. Do niego jechaliśmy po zajęciach na ASP. Grzegorz miał wprawdzie w domu jakieś jedzenie, ale nie chciałam go objadać. Dotychczas bardzo towarzyski, przy mnie zaczął prowadzić życie samotnika i to nie tylko dlatego, że na rozrywki nie było pieniędzy. Chodziliśmy do teatrów, tylko we dwoje – wejściówki po 3 złote, a u niego w domu czytywałam na głos „W poszukiwaniu straconego czasu”. Siedziałam wtedy na wąskim, żelaznym łóżku, a on gdzieś pod ścianą. Słuchał. Łóżko z niezbyt świeżą pościelą i wygniecioną poduszką. Byłam gościem. Nie do mnie należało sprzątanie i gotowanie fasoli na maszynie. To on robił herbatę, bardzo mocną. Mdlilo mnie od niej, ale udawałam, że taką lubię.

Nie było mowy o małżeństwie. Byłam trzecią mieszkanką tej pracowni, trzecią i najważniejszą. Ta pierwsza usiłowała go wychowywać, a druga się nie liczyła. Nigdy nie powiedziałam, że go kocham. Kochać oznacza związać się, a ja wiedziałam, że z nim nie można się wiązać.

W połowie lata napisał, że malują z Andrzejem święte obrazy i usiłują je sprzedać, ale na razie się to nie udaje. Głodował. „Człowiek przesta-

je myśleć i reagować na cokolwiek oprócz wystawy u rzeźnika. Jedyne, co czasem odczuwam, to tęsknota”. Pisał, żalił się. Pewno. Też tęskniłam.

Potem pisał z Lublina, że mają nową pracę, malują freski w przedszkolu za tysiąc pięćset złotych z wyżywieniem. Nastrój mu się poprawił. Mniej było w listach o tęsknocie, a więcej o miłości. Pisał że słyszy mnie czytającą Prousta – „...i teraz, ilekroć przypominę sobie jakiś moment z Prousta, słyszę twój głos, który chciałbym zatrzymać i tak się w nim zatracić...”.

Wzmianka o czytaniu przeze mnie Prousta była w każdym liście, tak samo jak wzmianka o moim ciele. Pamięć o lekturze była jednak dominująca, według niego ucieleśniałam ją. „Mógłbym myśleć, że nie ma żadnej książki, a ten wspaniały świat istnieje tylko za sprawą twoich warg”. Ja też pisałam o tęsknocie, ale nigdy nie napisałam, że go kocham. To było jak obrona twierdzy. Myślałam, że gdybym to zrobiła, poczułabym się bezbronna. Więc pisałam mu tylko o tym, co robię w ciągu dnia.

Tęskniłam do tego żelaznego łóżka, które bywało moim drugim domem. Wakacje się dłużyły, w Jeleniej Górze miałam być do początku września. Kiedy dowiedziałam się, że Grzegorz przyjechał do Warszawy, poczułam zniecierpliwienie, gwałtowną potrzebę powrotu. Ale z nim wróciłam, minęło kilka dni.

Jechałam na przedmieście, gdzie stał ten kwaterekowy drewniak, z pewnym lękiem. Po dwóch miesiącach rozłąki byliśmy już trochę inni. Bardziej stęsknieni, bardziej sobie bliscy, a jednocześnie jakby obcy. Wyobrażałam sobie radość, czułość i poznawanie się od nowa. Było przedpołudnie. Dzień prześwietlony z ukosa wrześniowym, jaskrawym słońcem. Na miejsce dojechałam pociągiem elektrycznym. Ciepło. Zaczynały opadać liście. Otwarte drzwi wejściowe. Korytarz. Dlaczego czuję lęk? Drzwi do pracowni w głębi. Nie muszę przecież pukać, jestem u siebie. W domu.

Od razu zobaczyłam, że nie był sam. Ona siedziała na łóżku, ubrana, ale niekompletnie. W jakiejś koszuli, przeciętna dziewczyna, niezbyt ładna. Poczułam nie gniew, nie rozpacz, ale wstyd. Powiedziałam „przepraszam” i wyszłam.

Rozpacz pojawiła się tuż za drzwiami. Wiedziałam – nie mogę płakać, bo on zaraz wybiegnie za mną. I wybiegł. Szedł ze mną w stronę

dworca. Wyjaśniał, tłumaczył, prosił i chyba nawet płakał. Rozstaliśmy się, kiedy nadjechał pociąg. Powiedziałam mu, że to koniec.

Zaczęłam szlochać na pustej ulicy za Dworcem Wschodnim. Weszłam do domu z płaczem i płakałam tak całą noc. Potem poczułam względny spokój. Nie byłam pewna, czy to rzeczywiście koniec.

To nie był koniec. Mieliśmy przed sobą jeszcze dwa tomy „W poszukiwaniu straconego czasu”. Po paru dniach byliśmy znowu razem, teraz już nierozłączni na dobre. Po pewnym czasie zaczęło mi to ciążyć, zaczęło się robić duszno. Teraz już byłam pewna, że nigdy – a przynajmniej w najbliższym czasie – nie znajdę spinki do włosów obcej dziewczyny pod poduszką. Jego skrucha była niczym więzy, a ja coraz bardziej pragnęłam być znowu wolna. Zaczęłam się wymykać. Chodziłam sama to tu, to tam.

I wreszcie pewnego dnia odeszłam, nie doczytawszy ostatniego tomu.

Odjazd

Rozstaliśmy się wczesną wiosną. Po dwóch latach było po prostu nudno. Zaczęłam sama chodzić do filharmonii, bo Gabriel nie był muzykalny. I tam którejś niedzieli poznałam klarncistę. Na imię miał Rajmund, co obniżało nieco jego atrakcyjność. Miał też małą głowę, a to z kolei odbierało mi całą przyjemność z pocałunków. Grał jazz.

Nieomal od początku naszej znajomości uczestniczyłam w próbach jego zespołu jako widz. Pianistą był znany muzyk. W dużej sali, w Hybrydach, siedziałam z tyłu, na krzeselku. Z nikim nie rozmawiałam, bo to był inny świat – świat mający swój własny język. Mój język nie miał tu zastosowania. A pianista onieśmiał.

Po próbie Rajmund mnie odprowadzał, chodziliśmy na spacer. Tylko raz byłam u niego w domu. Byliśmy wtedy sami i chciał, żebym mu się oddała, ale broniłam się zaciekłe. Musiało być jeszcze zimno, bo mia-

łam na sobie ciepłe, bawełniane majtki. Nie wiedział, że właśnie o to chodziło. Nie pozwoliłam się rozebrać.

Na uczelni widywałam się z Gabrielem. Zapytał mnie, co się stało. Nie rozumiał, dlaczego nie wychodzimy razem. Wkrótce moja zdrada stała się oczywista. Któregoś dnia zobaczył mnie z klarneckistą i to go zabolowało. To nic, że sam wybierał się do Paryża – na zawsze i beze mnie.

Nie tylko został zdradzony, ale w dodatku zdradzony jawnie. Wszyscy widzieli. Rajmund przychodził po mnie na uczelnię. Po incydencie w jego mieszkaniu stracił jednak zapał, ja natomiast straciłam ochotę na spotkania z nim.

Dostrzegłam wtedy, że dzieje się wokół mnie coś, w czym nie biorę udziału. Zmowa? Gabriel miał pokój w domku, starym drewniaku przedwojennym. To był nasz pokój, a teraz urządził tam prywatki. Każdy przynosił pewnie to, co miał, ale zabawa musiała być przednia. Nikogo nie dziwiła moja nieobecność, ale pogłoski zaczęły do mnie docierać. Niby po rozstaniu, a jednak Gabrys dobrze się bawi. Jest w euforii. Wolny. Tylko ja wiedziałam o co chodzi – żeby nikt nie domyślił się, że został zdradzony. Opuszczony? O nie. To ja miałam czuć się zdradzona i opuszczona. Bardzo mu zależało na tym, by tak myślano. Powinam była odczuwać satysfakcję. Jeśli zadawał sobie tyle trudu by mnie zranić, widocznie sam czuł się zraniony. Ale mnie stawał się obojętny.

Październik na ASP zaczął się od przygotowań do wycieczki. Paryż. Mnie to nie dotyczyło wcale. Skąd miałabym wziąć pieniądze? Ale Gabriel był podniecony. To była jego szansa. Zostanie tam. Ucieknie. Wiedziałam o tym – tylko ja.

Musiało mu zależeć na tym, żeby się pożegnać. Być może mnie zależało również. W przeddzień wyjazdu szliśmy przez całe miasto do jego klitki na Mokotów. Trochę się tam zmieniło. Było pusto. Łóżko stało przy innej ścianie.

Widocznie bardzo tego chciał, a ja uległam. Chyba już bez emocji. Pamiętam to – siedzę na łóżku, już po wszystkich i wciągam rajstopy, a on patrzy. Patrzy na moje nogi, potem na twarz. A ja? Nic to już dla mnie nie znaczyło. Dał mi książki. Te, z którym się nie rozstawał. Potem odniósł mi je pod same drzwi. Nie wszedł. A może sama je odniosłam? Nie wiem. Tego już nie pamiętam. Po tym co się stało, wszystko co doty-

czyło Gabriela znikło w jakiejś brunatnej mgle. Zapadło się. Jakby przestało istnieć.

Wycieczka do Paryża wróciła po tygodniu bez Gabriela. Co się działo za kulisami, nie wiem. Czy ktoś wyleciał? Pewno tak. I kto był przesłuchiwany? Nie wiem. Mnie nie pytano o nic.

Po pewnym czasie Gabriel zaczął pisać do mnie. Pisał gdzie mieszka. Że w łazience. I sypia w wannie. Nieźle. Powiodło mu się. I pytał, czy przyjadę. Nie przyjadę. Bo był ktoś inny, ktoś był zawsze, ale tego nie pisałam. Po co? Pogłoska, że Gabriel mnie porzucił, żyła. Po latach, w gronie znajomych, kiedy jeden drugiego pytał o mnie, najlepiej poinformowany opowiadał, że kiedy zostałam sama, pewno się załamalam. Nie wiedziano gdzie jestem, co porabiam, więc chyba jestem nikim.

To prawda. Jestem nikim. Lecz nie z powodu Gabriela.

Lidia Troć

Moje pisanie

Próbowałam coś napisać. Naprawdę wiele razy zaczynałam, ale nic nie zostało skończone. Pełno podartych kartek. Moja przyjemność pisania to czas nie wyznaczony. Nie wiadomo skąd przychodzi taka chwila, w której słowa stają się bardzo lekkie i tańczą na kartce. Nie bardzo potrafię trzymać się w ryzach czasu i pisać w określonym terminie. I tak ku zaskoczeniu samej siebie, zaczęłam sobie opowiadać:...

W pierwszomajową noc siedziałam na pomoście, wsłuchana w ptasie rozmowy. Woda jeziora bardzo lekką falą uderzała o brzeg. Czułam jak gwar miasta coraz ciszej we mnie brzmi. – „A ja gonię, a ja gonię swe marzenia” – z tarasu mojego domku rozchodził się śpiew mieszczuchów. Kilka gitar brzmiało raz zgodnie, to znowu przechwalały się swoimi tonami. Zanuciłam te piosenkę razem z nimi i zrobiło mi się smutno. – Nie mam marzeń – pomyślałam. – I żadnych planów – dodałam po chwili półgłosem.

Mąż, który w pobliżu szykował swój sprzęt wędkarski, zapytał, czy coś mówiłam. W gwarze rozmów zniknęła moja odpowiedź. Sama też jej nie usłyszałam. Szkoda, może udałoby mi się zrozumieć, dlaczego tak czuję.

Wstałam i przysiadłam się do przyjaciół, a tam – „przyplłynął statek do Bordeaux...”. Moja szanta – pomyślałam i głośno włączyłam się w zwrotce „Choćby nawet królem był, całował będę cię co sił”.

Dochodziła chyba druga w nocy. Młodzież powoli opuszczała nasze towarzystwo. Przytulali się, odchodząc. Na stołach zostały zimne kiełbaski, zdjęte już dawno z grilla oraz jakieś resztki sałatek i sosów. Zrobił się wielki bałagan. Koleżanka – widząc moje lustrujące spojrzenie – zapewniła, że postara się zrobić porządek przed pójściem spać.

Podniosłam się, tłumacząc sennością i poszłam do pokoju. Mąż, nieświadomy moich smutków, pogwizdywał do piosenki Czerwonego Tulipana „Jeszcze tobie marzy się ucieczka...”. Przyłożyłam głowę do poduszki, ale sen nie przychodził. Otworzyłam notatnik i napisałam:

I znowu ścierpły mi ramiona
Jak plecak ciężki przysiadł żal
Jak mam zrozumieć
Skoro nazwać trudno
Jak znaleźć słowo
Pośród rozrzuconych zdań

Zdarte ubranie
Wokół strzępy niespełnionych marzeń
Wiatr rozwiął żalu mgłę
Stoję naga przed lustrem
Już tylko drżąca zasłona wstydu
Oto ja
Naga przed lustrem stoję samotnie
W tafli odbicie moich łez
Z tej drugiej strony
Lśnią jak diamenty

Zmień płacz w słowa
Może osuszysz łzy
Ubierz w słowa krzyk
Może zrozumiesz dno rozpaczy

Rano obudził mnie aromat kawy. Mąż trzymał w ręku mój ukochany kubek i poruszał nim pod moim nosem. Kot zobaczył, że nie śpię i od razu wgramolił mi się na brzuch. Długo tak nie wytrzymałam. Usiadłam w głębokim fotelu. Obok leżał notatnik z nocnym pisaniem. Wzięłam długopis:

Porwij mnie falo za horyzont
I daj powrócić w piasku żar
Porwij mnie wietrze na gór wierzchołki
I daj przestrzeni czar

Słońce ogrzej me ciało
Jak ciepłem najczulszych rąk

Dotykaj falo mnie całą
Jak usta w upojną noc

Majowa burzo
Pocałunków zmyj fałsz
Ech żurawiu użyz swych skrzydeł
Zbuduję przed zapomnieniem dach

Pogoda nie sprzyjała spacerom. Od rana deszcz pieścił przyrodę, dodając jej zieleni, ale mnie zatrzymał pod dachem. Mąż jednak, nie zważając na nic, wziął wędkę, założył pelerynę i popłynął na ryby. Ja delektowałam się swoim nicnierobieniem. Czytałam Leszka Kołakowskiego – „Czy Pan Bóg jest szczęśliwy...”. Szukałam odpowiedzi na swoje pytania. Napisałam:

Za drzwi walizka wystawiona
Z balkonu szalik w kratę sfrunął
Za drzwiami mocno przestraszona
Moja chandra
Z kapiami w torbie i piżamą

Deszcz przestał padać i bratki doczekały się na posadzenie. Musiałam zrobić dla nich miejsce, bo niezapominajki rozsiały się wszędzie spontanicznie. I tak właśnie wygląda moje pisanie.

Dzień słowa

Słowo za późno się dzisiaj obudziło i miało bardzo mało czasu na leniwe witanie dnia. Humoru nie miało, gdyż wczoraj wieczorem przekroczyło wszelkie granice przyzwoitości, wyrażając swoją opinię o... Słowo skrzyknęło inne zaprzyjaźnione słowa, które – z siłą manifestacyjnego tłumu – ruszyły na oślep do przodu. Gnały bez opamiętania, a coraz to nowe przyłączały się do nich i z impetem spadały na ramiona słuchaczy. Powstał zamęt, zadyma a potem zgliszcza i cisza.

Rano słowo wstydziło się spojrzeć w oczy drugiemu. Spuściło uszy po sobie, ale nie wydukało nic, nawet niczego w rodzaju przeprosin. Ugrzęzło gdzieś w gardle, jak ość przy jedzeniu ryby, charczało, kaszlało, ale nic konkretnego się z tego nie urodziło.

Słowo pognało do pracy, może nie jak zwykle, ale spóźnione. Po drodze też milczało, bo gula w gardle nadal uwierała, a łzy, rozbiegane panienki, co jakiś czas podskubywały gałkę oka – to lewego, to prawego – tak na zmianę, jakoś dziwnie. Myśli podpowiadały – „otwórz się” – a słowo nic, zastygłe jak skamielina. Z upływem dnia i rozwojem wydarzeń musiało przerwać milczenie. Znowu poczuło się pewniejsze siebie, traciło poczucie lekkiej skruchy i wstydu za występki wczorajsze.

Za rogiem napotkało inne słowo, z trudnym tematem do rozwiązania. Nie bardzo miało ochotę na rozstrzygnięcie czegokolwiek i łamanie liter, więc popływało bezpiecznie na powierzchni małych słówek, na lewo, na prawo, uśmiechając się przymilnie. Bez zobowiązań pożegnało trudną kwestię.

Słowo znowu poczuło swą moc i brrrrr... aż strach pomyśleć. Pobiegło na spotkanie z popołudniem dość nieciekawie rozpoczętego dnia. – Trzeba nadrobić czas grzęźnięcia w gardle i poszukać przeciwnika – pomyślało. Na fali niepohamowanych myśli znowu jakby na przekór sobie wyrzuciło z impetem całe zastępy liter, ubranych w ironię i wżgardę. Nie panując nad biegiem wypadków, pustoszyło niczemu niewinne uczucia, które w pośpiechu chowały się po kieszeniach. Ale one tylko przez chwilę siedziały cichutko przestraszone, bo w końcu podstępem wykradły słowu trochę liter i w odsieczy wystawiły swoje zastępy. Litera, ubrana w słowa uczuć, poczuły się piękniejsze i majestatycznie zaczęły przechadzać się przed buntownikiem. Słowo wybałuszyło zdziwione oczy, milczało z otwartą gębą, a ironia, niczym dymek z papierosa, powoli z niego wyfruwała. Wzgarda schowała się za słupem i stamtąd z ukosa spoglądała na przechadzające się uczucia.

Wieczorem, zmęczone długim dniem, słowo przytuliło się do poduszki i zasnęło.

Blanka Zawada

Telegram z przeszłości

Wsiadłam. Do pociągu. Usiadłam. Otworzyłam. Książkę. Próbowałam. Czytać. Ktoś wsiadł. Wysiadł. Na chwilę. Nawet. Skupiłam się. Bernhard. Sms. Wyjęłam. Telefon. Z torebki. Przeczytałam. Napisałam. Jadę. Będę. Nie miał. Czasu. Jutro. Odpisałam. Staralam się. Czytać. Ktoś wsiadł. Ktoś wysiadł. Nie skupiłam się. Na myślach. Wysiadłam. Wrocław. Spotkanie. Projekt. Później. Włączenie. Po kawiarniach. Do świtu. Kwiaty o 3. Nad ranem. Na rynku. Można kupić. Hotel. Sen.

Rano. Sukienka. Makijaż. Trochę. Elegancko. Trochę. Staroświecko. Trochę. Jak pensjonarka. Trochę. Czechowowsko. Trochę. Po co. Nie. Dla niego. To dla mnie. Samej. Śniadanie. Czekolada. Przyjemność. W słońcu. Październik. Czekam. Czy już? Nie. Jeszcze nie. Może. Już? Jeszcze trochę. Nie. I? Tak. Już. Idę. Dochodzę. Siadam. Rozglądam. Jest. Spotkanie. Miło. Miło. Jak się masz. Dobrze. Jak zwykle. Świetnie. Wyglądasz. Patrzę. Nie mogę. Oderwać. Patrzy. Nie może. Oderwać. Nie mój? Nie jego? Ja. Czy widzisz. Tak widzę. Co myślisz. To ciekawe. Całkiem. Interesujące. Opowiadasz. Opowiadasz. Jedziemy. Na kawę. Pokazujesz. Widok. Później. Już. Tak. Obiad. Niedaleko. Park Południowy. Może. Północny. Tam, gdzie jezioro. Nie mam. Głowy. Do nazw. Jak zawsze. Pijesz kawę. Tam. Co rano. Miło. Trochę. Filmowo. Nawet. Teatralnie. Zbyt. Rozmawiamy. Rozmawiamy. Godzina. Następna. Robi się ciemno. Mam pociąg. Ale może. Do kina. Idziemy.

U Ciebie. Lakier. Do paznokci. Raczej tani. Zdecydowanie. Karolina? Przemknęło. A jednak. Karolina. Chyba. Dobrze. Słyszałam. Nie wiem. Nie rozumiem. Nie chcę. Rozumieć. Nie widzę. Nic. Nie całujesz. Bo znaczy. Zapewniam. Że nie. Nic. Nie znaczy. Więc. Całujesz. Nic. Nie chcę. Od Ciebie. Tak. Mówię. Umrę. Gdy. To robi. Tak myślę. Nic. Nie znaczy. Tak myślisz. W to wierzysz. Całujesz. A jednak. To przykre. To znaczy. I boli. Odchodzę. Zostaję. W hotelu. Rękawiczki. W samochodzie. Twoim. Rano. Wspólna kawa. Na rynku. Miała być. Czekam. Spoglądam. Ciebie. Nie ma. Znów. Sms. Nie będzie. Spotkania. Nie przyjdiesz. Ważne. Zakupy. Tak ważne. Ja siedzę. W słońcu. To Wrocław. Nie płaczę. Jaś i Małgosia. Przedemną. Pergola. Za mną.

Jakiś już czas. I okno namalowane. Domalowane. Zachwycające. A będą. Noce gorące. Firanki z okien. Falujące. Muzyka. Spotkania. Tego jeszcze. Nie wiem. A teraz. Trochę. Smutno. Myślę. Nie. Że. Wcale nie. Piękne. Ja. Wrocław. Historia. We mnie. Nie. Ty.

Z cyklu miejskich opowieści

Krystyna i Zygmunt żyli w konkubinacie. Bardzo się kochali i starali dać sobie przestrzeń oraz wolność, o których tyle czytali w kolorowych czasopiśmie. Oboje realizowali się w wolnych zawodach. Miło spędzali czas pomiędzy praniem, wypróbowywaniem najnowszych przepisów kulinarnych, nadrabianiem koniecznych lektur a wizytami na siłowni, w kinie oraz w teatrze.

Pewnego dnia Zygmunt, pracujący jako operator filmowy, oznajmił, że wyjeżdża na zdjęcia do filmu. Dla Krystyny był to szok, gdyż do tej pory kręcił on jedynie reklamówki. Była dumna z konkubenta, ale również zaniepokojona, ponieważ główną rolę w filmie odgrywać miała słynna blond gwiazda ambitnych produkcji. Jak przystało na kobietę, która w soboty zaczyna dzień od „Wysokich Obcasów”, a 8 marca spędza nie inaczej jak na Manifie, Krystyna postanowiła poprzestać na drobnych niby-żartach, pod którymi ukrywała swoje kobiece niepokoje.

Postanowiła zorganizować sobie jakoś wieczory podczas nieobecności Zygmunta, który pomagał jej w obdzwanianiu koleżanek i planowaniu czasu wolnego. Tak dobrze jej szło wypełnianie rozrywkami dni słomianej konkubiny, że nagle okazało się, iż Krystyna już pierwszego dnia wyjazdu partnera wybiera się na ogromne party, odbywające się na statku pływającym po Wiśle. Wtedy to Zygmunt odczuł pewne zaniepokojenie męskiego ego, ale nie dał nic po sobie poznać. Ukrył iskrę zazdrości pod maską nowoczesnego mężczyzny, feministy – w końcu też czytał „Wysokie Obcasy”.

Czas do wyjazdu upływał nieubłaganie. Przy pakowaniu Zygmunt postanowił poprosić o pomoc Krystynę, która oczywiście zgodziła się bez

zastanowienia. Chcąc podziękować jej za czas, jaki poświęciła na przygotowywanie go do wyjazdu, a który w innych okolicznościach zapewne spożytkowałaby na przeczytanie rozdziału z nowo nabytej „Klaudyny...”, postanowił się zrewanżować. Jako że powszechnie wiadomo, iż feministki gotować nie potrafią, feminiści zaś robią to genialnie, Zygmunt postanowił przyrządzić pożegnalny posiłek. Wszystko smakowało wprost wybornie, ale potrawy przyprawione zostały ogromną ilością czosnku. Krystyna była tym trochę zaniepokojona – zwłaszcza w kontekście imprezy towarzyskiej na barce, która miała się odbyć za trzy godziny. Zygmunt uspokoił ją jednak i zapewnił, że szczególny rodzaj oraz sposób podania czosnku nie przyniosą żadnych negatywnych konsekwencji. Krystyna, słysząc to, ochoczo powróciła do jedzenia. Pożegnali się bardzo ciepło i każde poszło w swoją stronę. Zdjęcia Zygmunta miały zająć dwa miesiące – od kiedy byli razem, nigdy jeszcze nie roztawiali się na tak długo.

Krystynie podczas przyjęcia dopisywał humor, tym bardziej że jako niezależny PR-owiec miała akurat szansę pozyskania nowych klientów, a przy okazji spotkania przedstawicieli projektów, o które się ubiegała. Niestety, nie wiedząc czemu, uśmiechnięci z początku rozmówcy szybko zmieniali wyraz twarzy i już po chwili rozmowy musieli akurat udać się do toalety, po drinka lub też dostrzegali nagle byłą ulubioną nauczycielkę polskiego, przyjaciółkę z Chile czy po prostu byli zmuszeni na chwilę opuścić Krystynę. Po dwóch godzinach nieskutecznych prób poszukiwania choćby jednej osoby skłonnej do dłuższej rozmowy, wyszła z imprezy. Po kilku dniach zaczęły przychodzić maile informujące, że projekty, przy których miała pracować, zostały w dużym stopniu okrojone przez Ministerstwo, miasto czy Unię Europejską. Pisali, iż żadnej firmy teraz na nią nie stać i zatrudnili już tańszą osobę.

Zygmunt rozpoczął w tym czasie zdjęcia. Wszystko szło dobrze, dopóki nie okazało się, że w jego kosmetyczce zabrakło dezodorantu. Problem był o tyle skomplikowany, iż zdjęcia kręcono na wyludnionej wsi, a Zygmunt jako alergik mógł używać jedynie specyficznego rodzaju dezodorantu w kryształach, który dostępny był tylko w specjalistycznych aptekach. Nie marzył więc nawet o uzupełnieniu kosmetyczki, gdyż nikt nie wstrzymałby zdjęć z tak błahaego powodu. Poza tym zawstydzony nie śmiałby nawet wspomnieć o tego rodzaju problemie. W końcu co pół go-

dziny odskakiwał od kamery i biegł do łazienki się umyć, gdyż nie potrafił o niczym innym myśleć. Po dwóch tygodniach tak dziwnego i niezrozumiałego dla innych zachowania, reżyser wraz z producentem postanowili podziękować mu za współpracę, wyposażając go na pożegnanie w numer telefonu do znanego psychiatry.

Zygmunt, wykończony psychicznie, wrócił do domu. Tam, przed telewizorem, zastał Krystynę – w brudnej piżamie, nieuczesaną i z paczką chipsów w ręce. Na jej pytanie, czemu przyjechał półtora miesiąca przed czasem, burknął coś niezrozumiałego i spytał ją, co robi w takim stanie. Odpowiedziała, że ogląda zakupy w telewizji na kanale Mango. Mimo jeszcze kilku podjętych przez nią prób znalezienia pracy, fama o Krystynie jako dziewczynie od PR-u, której oddech nie pozwala na pracę z nią, szerzyła się nieustannie. Mówiono także i o Zygmuncie – niegdyś zapowiadającym się świetnie operatorze, który zwariował. Przyjęto wersję, że prawdopodobnie jest to choroba rodzinna, a on sam nie mógł już dłużej pracować z kamerą, gdyż co chwilę wybiegał w podskokach z planu filmowego. Plotki o obojgu rozeszły się w końcu na całą Polskę.

Czas mijał, a Krystyna z Zygmuntem, siedząc na kanapie, oglądali wspólnie zakupy w Mango. Było tak aż do dnia, kiedy odłączono im kablówkę, bo nie mieli z czego zapłacić. „Wysokich Obcasów” też już nie kupowali. Po jakimś czasie komornik zaczął wynosić z ich mieszkania różne sprzęty, gdyż nie byli w stanie spłacać kredytu. W końcu musieli opuścić piękne lokum z wysokimi sufitami, znajdujące się na warszawskim Żoliborzu. Krystyna zamieszkała w domu swoich rodziców, a że byli oni katolikami, Zygmunt nie mógł przenieść się razem z nią. Na ślub także nie mieli pieniędzy, podobnie jak i siły. Mężczyzna zmuszony był więc wrócić do swojej rodzimej wsi pod Białymstokiem i tam pomagać ojcu w gospodarstwie. Prawie się z Krystyną nie widywali. Nigdy też nie powiedzieli sobie, że tak naprawdę poszło o zazdrość. To w końcu bardzo plebejskie uczucie, do którego zniżyć się nie wypada.

Okoliczności dostrzegania znaków

Dopiero kiedy podpisywałam papiery rozwodowe, zaczęłam zastanawiać się, czy na pewno zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby uratować moje małżeństwo. Od momentu, w którym podjęłam decyzję, że to koniec, aż do finalnego podpisu, byłam tak zdeterminowana, iż właściwie się nad tym nie zastanawiałam.

Miałam już dość wszystkiego, co mi się z nim kojarzyło. Jego śmierdzących skarpetek porzucanych po sypialni i pijackiego bełkotu, który wydawał z siebie, kiedy wchodził do łóżka po wypadzie z kolegami na piwo. Pot, wydzielany przez niego w czasie stosunku, śmierdzał tak nieznośnie, że nie potrafiłam myśleć o niczym innym jak tylko o ciepłym prysznicu, który wezmę, jak tylko się to skończy. Po dwunastu latach małżeństwa nie mogłam na niego patrzeć. Żeby sobie ulżyć, marzyłam. Marzyłam, że pewnego dnia wróci do domu i powie, że ma kochankę, wyprowadza się, że to koniec. Marzyłam, by powiedział, że się mną znudził, bo jestem stara, pomarszczona i męczą go moje depresyjne nastroje. On to wszystko znosił. Nienawidziłam go za ten brak jakiegokolwiek reakcji na moje – coraz częstsze – irracjonalne zachowania. Był taki moment, kiedy myślałam, że coś między nami się zmienia, idzie ku lepszemu, że zaczyna mu naprawdę zależeć.

To była nasza ostatnia kłótnia. Zaczęłam wtedy jeździć po nim jak po szmacie, przeklinać, wyzywać. Widziałam, że w środku się zagotował, ale nic nie mówił, nie krzyczał. Chodził w tę i z powrotem, a ja za nim. Ujadałam, a po nim wszystko spływało jak po kaczce. W pewnym momencie popatrzył na mnie tak, jakby chciał mnie zabić. Nic nie powiedział, a obojętność jest najgorsza. Wysłałam z mieszkania i zadzwoniłam do Ani. Zaszyłam się w jakiejś zadymionej kawiarni i czekałam na nią. Popijałam kawę i płakałam. Kiedy przyszła, rzuciłam się jej na szyję:

- To koniec, odeszłam od niego. – Szlochałam jej w ramię.
- Co się stało? – zapytała przerażona. – Nie potrafisz z nim być. On mnie nie rozumie...
- Wszystko się ułoży. Spokojnie.

Usiadłyśmy.

Nie miałam ochoty myśleć. Chciałam ukrócić cierpienia temu, co nazywaliśmy naszym małżeństwem. To coś zdychało, zjadane od środka przez pasożyty. Tego samego wieczora, w tej samej knajpce – dokładnie naprzeciwko stolika, w którym siedziałam z Anią – jakiś mężczyzna notował coś w dzienniku. Był bardzo skupiony na swoim zajęciu. Ten, zupełnie mi wtedy obcy, mężczyzna od razu wzbudził moje zainteresowanie. Wydał mi się niesamowicie bliski, choć zarazem był wtedy taki daleki i nieobecny. Doskonale pamiętam tamten moment. Podniósł głowę znad swojego notesu i popatrzył przed siebie. Na wprost byłam ja i jego oczy uśmiechnęły się do mnie. Wtedy wróciłam na ziemię i przypomniałam sobie, że właśnie od kogoś odeszłam i nie wypada, żebym tak bezczelnie zawieszała wzrok na nieznanym.

Odwróciłam się do Ani, ale nie przestawałam myśleć o tej tajemniczej postaci, siedzącej naprzeciwko. W którymś momencie nieznanomy wstał i wyszedł. Poczułam smutek – jak wtedy, gdy byłam mała, a tato wyjeżdżał z domu w dalekie podróże, pozostawiając mi niepokój i tęsknotę. Siedziałam chwilę, jak gdyby ktoś dał mi w twarz, i wtedy stał się cud. On wrócił, zapomniał rękawiczek. Pomyślałam, że to znak. Wstałam od stolika i poszłam w kierunku nieznanomego. Nie wiem, co robiła w tym czasie Ania – od jakiegoś czasu przestałam dostrzegać otoczenie. Opowiadała mi później, że zachowałam się jak zahipnotyzowana i nigdy mnie takiej nie widziała.

Nieznanomy miał na imię Marian i okazał się niezwykle interesujący. Dosiadł się do naszego stolika, a kiedy Ania już poszła, rozmawialiśmy dalej. Czułam, jakby to wszystko – cały świat, całe miasto – było tylko scenerią, tłem dla naszego rodzącego się uczucia. Rozmawialiśmy do białego rana. Od męża wyprowadziłam się z jedną walizką pod pachą. Przez pierwszy miesiąc mieszkałam u Ani, a później wprowadziłam się do Mariana. Wszystko było jak w bajce, nie wierzyłam, że dzieje się naprawdę. Chciałam być dla niego ideałem. Dużo opowiadał mi o swojej byłej narzeczonej. Mocno przeżył to rozstanie, ale nawet te nasze wcześniejsze katastrofy zbliżyły nas do siebie. Byliśmy jak dwoje rozbitków, którzy odnaleźli się na bezludnej wyspie. Zapisalam się na basen i jogę, bo była dziewczyna Mariana była instruktorką fitness i nie chciałam okazać się gorsza. Zaczęłam czytać dużo poezji, jako że ona pisała

wiersze, a to ich połączyło. Nauczyłam się gotować i przestałam jeść mięso – ona była wegetarianką. Wtedy zrobiłabym dla niego wszystko. Oczywiście przeżywaliśmy także burze, jak w każdym związku, ale zaraz po tym jak oficjalnie stałam się rozwódką, zaczęliśmy planować ślub.

Miesiąc przed ceremonią między nami zaczęło się jednak robić coraz gorzej. Po ślubie nastroje toczyły się już w dół po równi pochyłej. Coraz częściej spóźniał się do domu na kolację albo nie wracał w ogóle. Miał do mnie ciągłe pretensje, że chcę go zmieniać i nie akceptuję go takim, jakim jest. Najbardziej zabolalo mnie, kiedy leżąc obok niego w nocy, ni z tego, ni z owego powiedział, że nie chce mieć ze mną dzieci. A przecież planowaliśmy je, mieliśmy nawet wybrane imiona. Jak to? – dźwięczało mi w głowie, ale się nie odezwałam. To, co powiedział, za bardzo boleło. Nigdy nie umiałam wyrzucić mu tego, że bardzo mnie rani swoim zachowaniem – tym, co robi źle i czego nie robi wtedy, kiedy powinien. Kochałam go i bałam się, że jeden mój zarzut w jego kierunku sprawi, że on odejdzie, a razem z nim odejdzie też moja chęć do życia. Pewnego niedzielnego popołudnia w trakcie długiej i namiętnej kłótni powiedział, że odchodzi. Miałam ochotę rzucić się na niego, uderzyć, pobić, wykrzyknąć wszystko... Musiał zauważyć we mnie wzrastające napięcie. Wyraźnie się przestraszył, zabrał płaszcz i wyszedł. Siedziałam w kuchni i paliłam jednego papierosa za drugim. Ani nie było w mnieście, nie miałam do kogo zadzwonić. Około północy dostałam SMS od Mariana. Pisał, że to koniec i chce rozwodu.

Skoczyłam z okna. Nie zabiłam się, ale wystraszyłam go na tyle mocno, by uznał mnie za całkowicie niepoczytalną i tym szybciej się ze mną rozwiódł.

Dopiero kiedy podpisałem papiery rozwodowe, zacząłem się zastanawiać, czy na pewno zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby uratować moje małżeństwo. Od momentu, w którym podjąłem decyzję, że to koniec, aż do finalnego podpisu, byłem pewny, że tego właśnie chcę.

Miałem jej dosyć. Jej zdrowej kuchni bez smaku, pedantycznego dbania o wygląd. Ciągłych diet i ćwiczeń. Tego uporczywego starania się bycia eteryczną, delikatną i niedostępną. Zastanawiałem się, czy to nie

jakieś fatum i czy może byłem ślepy, kiedy zacząłem się z nią widywać. Wydawała się wtedy zupełnie inna, a okazała się bardzo podobna do mojej byłej narzeczonej. Przyciągam najwyraźniej taki typ kobiet. Czasem modliłem się, żeby wróciła do domu, oświadczyła, że ma kochanka i się wyprowadza, że to koniec, bo jestem wybuchowy i nie można na mnie polegać. Chciałem, żeby wyrzuciła mi w końcu, że skoro ja nie chcę mieć dzieci, to ona nie ma czego przy mnie szukać.

Kiedy klóćiliśmy się ostatni raz myślałem, że zaczyna się między nami poprawiać. Krzychałem, przeklinałem, wyzywałem i widziałem, że zagotowała w środku, że już nie może, miota się, chce zedrzeć te swoje białe, eteryczne szatki i pokazać prawdziwe mięso. To mięso, w którym się zakochałem, ten temperament. Jednak ona znowu nic nie zrobiła, a obojętność jest najgorsza. Nie krzyczała, stała przede mną jak słup. Oblewałem ją pomyjami, a ona nawet nie drgnęła, zafundowałem zimny prysznic, a ona unosiła się na kroplach mojego jadu jak pierdolony jogin w pozycji lotosu. Był taki moment, ułamek sekundy, kiedy zobaczyłem w jej oczach szaf. Chyba chciała krzyczeć, ale się opanowała. Nie wyrzuciła z siebie tego, co tliło się w jej pięknych oczach – nigdy już chyba nie spotkam tak pięknych i intrygujących oczu. Wyszedłem, trzaskając drzwiami.

Zadzzwoniłem do Jarka, akurat pił na mieście z chłopakami. Siedziałem w knajpie, a kolejka szła jedna za drugą. Nagle wszystko stało się proste. Przecież jeszcze tyle przed nami. Ona może znaleźć kogoś innego, a ja zostanę sam i będę się bawił. W tym samym momencie, kiedy oświeciła mnie ta złota myśl, zauważyłem naprzeciwko mnie, na parkiecie, tańczącą kobietę. Piękną. Długie włosy, krótka sukienka... albo spódniczka – nigdy nie mogę zapamiętać różnicy. Bardzo ładne nogi. Powiedziałem Jarkowi, że idę zatańczyć i podszedłem do niej. Z reguły nie mam problemu z podrywem, ale ona cały czas się wymykała. Na jej palcu zauważyłem obrączkę i wszystko stało się jasne, ale oczy miała tak smutne, że nie mogłem jej zostawić.

Dosiadłem się do ich stolika. Była z koleżanką, ale tamta zauważyła, co się święci i szybko się zmyła. Rozmawialiśmy długie godziny. Opowiedziałem jej o moim nieudanym małżeństwie. Świetnie rozumiała moją sytuację. Gadało mi się z nią jak z dobrym kumplem, a potem zaprosiła mnie do siebie na noc. Jej mąż wyjechał w delegację. W między-

czasie napisałem SMS do Kaśki, ale nie pamiętam treści – byłem już zdrowo narąbany.

Następnego dnia pojechałem do mieszkania, żeby się spakować. Kaśki nie było, za to na miejscu zastałem jej siostrę. Zaraz po reprimendzie, jaką od niej dostałem, pojechaliśmy do szpitala. Moja ówczesna żona próbowała popełnić samobójstwo. Nie zostawiłem jej, dopóki nie wydobrzała. Odwiedzałem w szpitalu, opiekowałem się nią. Ona żyła, ale to, co było między nami, umarło. Trzy lata później byliśmy już po rozwodzie.

Po podpisaniu papierów poszedłem do kawiarni. Tej samej, w której pierwszy raz spotkałem Kasię. Zamówiłem piwo i otworzyłem książkę. Moje skupienie nad lekturą przerwała kelnerka. Kufel był pusty i pytała, czy coś jeszcze przynieść. Podziękowałem mówiąc, że wychodzę. Spakowałem książkę, a kiedy wychodziłem przy barze zauważyłem znajomą kobietę. Patrzyłem na nią chwilę, jej palce tańczyły na klawiaturze leżącego przed nią laptopa. Pochłonięta swoim zajęciem, zdawała się nikogo nie zauważać. Podeszedłem, podniosła głowę. Jej uśmiech mówił, że mnie poznaje. Na palcu nie miała już obrączki.

Spis treści

<i>Jak powstała Stajnia Literacka SPP</i>	5
Katarzyna Marta Chrzanowska	
Opowiedz mi o echu.	9
Religie / Niebo jest niebieskie	10
Michał Kamiński	
Grafoman	11
Beata Komarnicka	
Wolę	12
Słowa	12
Wyspałam się na zapas	12
Zgubiłam wiersz	13
Maria Kościuszko	
A jednak	14
Wierzę starym poetom	15
Strona światła	16
Sabat	16
Waldemara Kossak-Chodnicka	
Punktualna.	18
Leciwy	18
Ewa Kubiak-Kokoszko	
Jesteś	20
Wydmy.	20
Strachy na wróble	21
***.	21
Renata Lipińska-Kondratowicz	
Dusza mojego domu	22
Jesienne szarugi	22
Magic woman	23
Edyta Moskwa	
Nie odchodź	25

Tomasz Mroczkowski	
Wygnańcy	31
Roussana Alexandrova-Nowakowska	
Komunikat budowlany	32
Godziny szczytu	32
Fart	32
Kasia Pietrzak	
Gdy diabeł dzieci kołysze	33
Anna Rębosz	
Szukanie	37
Anna Skwierzyńska	
Tylko ciebie mam	48
Iwona Świerkula	
Czwarte narodziny	82
Mycie okna	83
Plecy wiatru	84
Sugestie jesieni	84
Wanda Szczypiorska	
Czytanie Prousta	85
Odjazd	87
Lidia Troć	
Moje pisanie	90
Dzień słowa	92
Blanka Zawada	
Telegram z przeszłości	94
Z cyklu miejskich opowieści	95
Agnieszka Żuchowicz	
Okoliczności dostrzegania znaków	98